W. Kosiakiewicz

JEJ CHŁOPCY

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70. Tel. 27-73.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

JEJ CHŁOPCY

POWIEŚĆ.

TOM II.

Cena 55 kop.
W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya Sienna № 2 (Dom Towarzystwa Rosya). Telefon 114.30.

JEJ CHŁOPCY.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Wincenty Kosiakiewicz.

JEJ CHŁOPCY.

POWIEŚĆ.

TOM II.

WARSZAWA
Druk Ed. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70.
Telefon Nr 27-73.

CZĘŚĆ IV.

I.

— A teraz powiedzcie mi moi drodzy, czyj to był projekt? kto pierwszy podał myśl przeniesienia się do Warszawy?

Bronia i Henio oddają Leonkowi, co mu się słusznie należy:

— Twój był projekt, twój!

— Ty pierwszy miałeś myśl, ty!

Ludek, jak zawsze, gdy się coś nie tyczy go osobiście, nie wypowiada swego zdania.

Anatolek występuje z krytyką.

— Już jak tobie co się uda, to chwalisz się, jak kura, co zniesie jajko.

— Bo mi nigdy nie oddajecie sami sprawiedliwości.

Mieszkają już w Warszawie przy ulicy Wspólnej, na trzeciem piętrze od podwórza, w dwóch pokojach i kuchni; pokoje są duże o dwóch oknach każdy i jeden z nich z alkową. Ta alkowa—dla Broni.

Kłopotu tylko z przeprowadzką, zanistalowaniem się co niemiara.

Ale, ostatecznie, jakoś do ładu, choć tymczasowo, wszystko doszło.

Chłopcy nie posiadają się z radości. Tylko Bronia spostrzega odrazu, że Warszawa nie jest tak różowa, jak jej to starszy braciszek namalował. Za samo mieszkanie trzeba będzie płacić 20 rubli na miesiąc. — W Kielcach na kwartał tyle nie kosztowało.

— Ale co za wygody! — mówią jej bracia. Patrz jaka kuchnia, zlew, wodociąg...

Bronia to wszystko uznaje, ale co wyjdzie na miasto, to wraca ze złą wiadomością.

— Jakie mleko drogie...

— To się nie będzie piło mleka.

Innym razem:

— Czy wy wiecie, ile tu funt masła kosztuje?

— A no trudno—pocieszają ją chłopcy. Pewnego razu wita ich jednak rozjaśnioną twarzą:

— Słuchajcie! — mówi wesoło. — Mam gienialną myśl.

Tak, dziś jej to przyszło...

— Czy wy wiecie, ile kosztuje utrzymanie służącej, w Warszawie?

— No?...

— Piętnaście rubli miesięcznie...

— Żarty...

— Minimum, moi kochani, minimum. Obliczyłam dziś co do grosza.

Ten ustęp nie jest wesoły. Ale musiała Brona znaleźć na to właśnie radę, skoro tak jaśnieje.

Gdzież ta „genialna myśl“.

A oto ona:

— Postanowiłam więc obejść się bez sługi. Mając zlew i wodociąg w domu...

Braciom to odrazu przemawia do przekonania.

— Istotnie — przyświadczają jej — to jest „genialna myśl“.

Leonek łaskawie przyznaje:

— Doprawdy, że ta Brona to także...

Dziewczyna rada jest, że ją chłopcy chwalą.

— Jednego tylko będę od was żądała: żebyście sami czyścili buty i ubranie.

Chłopcy zgadzają się na to odrazu.

Bronia kładzie się tego dnia spać uszczęśliwiona.

— Inaczej — myśli sobie — nie możnaby dać rady. Ale gdzie?... Ani sposobu... Dwadzieścia rubli miesięcznie samo mieszkanie... Piętnaście rubli miesięcznie sama służąca... To trzeba być Rotszyldem...

I usypia rozkosznie. Od tej chwili i jej jest dobrze w Warszawie.

II

Przeprowadzkę tę uskuteczniono w zupełnej tajemnicy. Nikt z rodziny nic jeszcze o tem nie wie. Stryj Adolf i stryjenka Regina nie domyślają się, że w tak blizkiem sąsiedztwie — o jedną tylko ulicę — posiadają całą gromadę krewniaków.

Anatolek był z wizytą u stryjostwa w czasie swej wycieczki do Warszawy. I przyjęto go tu bardzo dobrze. Widocznem było, że zrobił doskonałe wrażenie i na stryju i na stryjence. Stryjenka Regina okazywała mu nawet wprost serdeczność, więc musiał się jej podobać. (Co za wyjątkowe szczęście ma ten chłopiec wogóle do ludzi).

Oczywiście strzegł się Anatolek pisnąć choćby słówko o celu swej podróży i o wielkim projekcie rodziny.

Ale ta tajemnica długo trwać nie może.

Trzeba stryjostwu dać znać przecież, co się stało i to nie zwlekając. Inaczej miesięczna pensya powędruje do Kielc

To jedno...

Ale jest jeszcze i drugie, bardzo ważne.

Trzeba prosić stryja, aby pofatygował się z chłopcami, i to z każdym oddzielnie, do władz szkolnych. Muszą się przecież wykazać opiekunem. Anatolek i Leonek chodzą do trzeciego gimnazyum, obadwaj mają tam kolegów z Kielc. Ludek pójdzie do szkoły realnej; może mu będzie łatwiej bez klasycznych języków; Henia uradzono oddać do szkoły klasycznej.

Że stryj Adolf fatygi nie odmówi, to nie może ulegać wątpliwości, ale co powie na tę ich Warszawę? Stryj jeszcze jak stryj, ale co stryjenka?

Więc kto pójdzie powiedzieć?

Misya nie należy do przyjemności, trzeba zrobić naradę, zastanowić się, obmyśleć.

— Jabym chętnie poszedł — mówi Anatolek — ale, widzicie obawiam się utracić sympatyę, którą zyskałem u stryjenki. Nie idzie mi tu o siebie, rozumiecie, ale ta sympatya może się nam kiedy przydać jeszcze. Należy ją oszczędzać.

Ludek skurczył się jakoś, jakby się obawiał, że go gwałtem wypchną i każą iść do stryjostwa. To już natura taka: nikt nie ma zamiaru zaczepić go, a on ciągle przygotowuje się do obrony.

— Jabym także poszedł — rozważa głośno Leonek — ale się obawiam swojej niecierpliwości. Mógłbym tam usłyszeć coś, coby mi się niepodobało, a nie mogę ręczyć, że potrafiłbym wszystko schować do kieszeni. Gotów jestem wybuchnąć, a chociażby odpowiedzieć i popsuć jeszcze cały kram.

— To ja pójdę!... — wyrywa się Henio.

— Właśnie...

Ostatecznie uchwala się na naradzie, że pójdzie Bronia.

— Tak, ona pójdzie. Bronia nie straci sympatyi stryjostwa, bo tej sympatyi nie posiada; niema też obawy o to, aby miała wybuchnąć, gdyby powiedziano jej coś, coby mogło pójść nie w smak! Ona się przecież potrafi powstrzymać, nie popsuje całego kramu.

Bronia czuje się przekonaną, że nikt inny, tylko ona powinna pójść.

Więc idzie odważnie.

Chłopcy czekają na jej powrót trochę niespokojnie.

— Cóż nam zrobią ostatecznie?—dodaje sobie ducha Leonek.

Wraca Bronia.

— I cóż?—I cóż?

— A nic—odpowiada rezolutnie.

— Jakże przyjęli wiadomość.

Bronia macha ręką za odpowiedź.

— Bardzo źli byli?

— Źli, nie. Ale krzywili się, powiadam wam, okropnie!

— Oboje?

— Oboje. Zwłaszcza stryjenka.

— Ja wiedziałem—mówi Anatol.

— Ale ja im powiedziałam: przecież do Kielc nie wrócimy teraz.

— Doskonale!—chwali ją Leonek.

— I cóż ostatecznie?—dopytuje Anatolek.

— Dałam im adres, powiedziałam, że wszyscy zdrowi i poszłam.

Bracia są z niej zadowoleni.

Wszyscy oddychają. Co było najgorsze, to już się zrobiło.

Nazajutrz mówi sobie stryj Adolf:

— Trzeba tam zajrzeć jednak.

Przychodzi na Wspólną, ogląda całe gospodarstwo, prosi chłopców o pokazanie mu cenzur.

— Ileż idzie to mieszkanie?—pyta.

Bronia jąka się:

— Dwadzieścia rubli.

Stryj Adolf na to.

— Fiu! fiu!

A po chwili pyta:

— Z czegóż wy będziecie tu żyli?

— Ja już od dwóch lat korepetycye daję — odpowiada Anatol.—Teraz Leonek o to się postara...

Stryj Adolf kręci głową.

Wreszcie wstaje, żegna się i na samem odchodnem mówi:

— Trzeba wam coś... tego... Będziecie mieli u mnie teraz dwadzieścia pięć... tego... zamiast piętnastu.

Radość niesłychana.

— A co? A kto podał projekt? No, powiedzcie tylko?—woła Leonek.

Stryj Adolf zaś mówi do stryjenki Reginy:

— Nie mam już teraz żadnych wątpliwości. Z nich będą ludzie, będą i jacy!.. Zuchy, mówię ci, jakich długoby trzeba szukać gdzieindziej.

Sami! sami! Jak tu im nie pomagać!

Stryjenka Regina obiecuje zajrzeć sama do dzieci.

I któregoś dnia mówi do męża:

— Byłam dziś tam, u nich, na Wspólnej.

— I cóż? Jakże ci się podobało?

— Owszem, owszem...

— Zuchy są, nieprawdaż?

— Miłe chłopcy, miłe. Inteligentne. I pomyśleć, że się to wychowało samo, bez ojca i matki. Tylko wiesz, dziewczyna jakoś nie bardzo... Takie to niewyraźne... Ani ładne, ani zgrabne, ani wykształcone... Siedemnaście lat blizko, a nic w tem niema kobiety... Żadnego wdzięku... nic...

Stryj Adolf kiwnął potakująco głową.

— Tak, dziewczyna się mniej udała...

III.

Co się zaś Ludka tyczy, to posiada on ustaloną już u brata opinję, niema żadnych wątpliwości, jest to typ skończonego egoisty.

Anatol wyraźnie go nie lubi. Leonek, nie poprzestając na prostem biernem nielubieniu, dokucza mu, gdzie może i jak może.

Bronia jest zadziwiona tem wszystkiem.

— Nie mogę pojąć, doprawdy, co wyście sobie upatrzyli do tego chłopca?...

Przyznaje, że Ludek jest skryty. Ale cóż z tego? Taką ma naturę. Czy to każdy człowiek musi zaraz wszystko opowiadać, co myśli, a co robi, a co zamierza!...

Dokuczać mu stanowczo zresztą nie pozwala.

Czasem prowadzi to do gorących z Leonkiem rozpraw.

— To ty rozwijasz w nim egoizm — oskarża Leonek Bronię. — Nie dasz mu nic powiedzieć, nie pozwolisz, aby na niego wpłynąć, aby go ukarać...

— Ciebie karał kto?

— Ja co innego. Ja nie potrzebowałem kary.

— I on nie potrzebuje.

— No, no, ładnego dochowasz się z niego ptaszka.

— Już ty myśl tylko o sobie.

— Zobaczysz, zobaczysz...

— Niech cię o niego głowa nie boli...

Ludek jest rzeczywiście nader skryty; wszystko, co do niego należy, ma zawsze pochowane; dziennika nie pokazuje nikomu, gdy się kto do niego wtrąci, podnosi dziki krzyk; baczny jest na wszystko, uważny i niemal zupełnie bierny. Sprawy domowe, które są tak często przedmiotem wspólnych narad, ocierają się tylko o niego i jakby nie dostawały mu się do duszy.

Szczerze i prawdziwie jedna rzecz tylko go zajmuje: zbieranie marek.

Ta namiętność dopiero w Warszawie w nim się rozwinęła. Ale oddaje jej się cały; oddaje się jednak z rozwagą, z zastanowieniem, z systematycznością i wytrwale. Dochował się już pięknego albumu, wypełnionego wcale obficie—a przystąpił do tego interesu niedawno przecie, ze złotówką, wyproszoną od Broni.

Bracia album ten widzieli raz, czy dwa, przypadkiem.

Ludek nigdy się z nim nie rozstaje; w dzień nosi go pod kamizelką, w nocy śpi na nim, wcisnąwszy go pod poduszkę pomiędzy powłoczkę i poszewkę.

Broni także nie lubi go pokazywać. W albumie tym marki się zmieniają ustawicznie. Ludek bo nie jest kolekcyonistą czystej wody. Najrzadszą markę ci sprzeda, jak zechcesz, byleś dobrze za nią zapłacił; sprzeda ci ją nawet i za cenę nie wygórowaną, byle z zyskiem. Z prawdziwie jednak rzadkiemi markami nie lubi się Ludek rozstawać, choć się rozstaje i nad tego rodzaju interesem zazwyczaj długo się namyśla.

Jest to więc prosty handlarz marek. Żywiołem jego właściwym: tranzakcya; celem: zysk. Na każdej pauzie znajdziesz go, otoczonego przez amatorów marek: kolekcyonistów, handlarzy i poprostu przez tych, którzy się markami tylko bawią. Zamienia, sprzedaje, kupuje... Jest ostrożny, podejrzliwy...

Zdarza mu się czasem, przy całej ostrożności i podejrzliwości, wpaść.

Innym razem dał się złapać na fałszywą Nikaraguę.

Przypłaca to całodniową chorobą.

Wyczekuje wtedy, aby bracia się rozeszli i, sam na sam z Bronią, skarży się jej:

— Wiesz, dziś mnie oszukali.

— Kto cię oszukał?

— A tam... jeden... z drugiej klasy.

— I na czem?

— Sprzedał mi Nikaraguę fałszowaną.

— I tak cię to martwi?

— Tak mnie boli głowa, że nie wiem, gdzie się podziać...

Bronia kładzie mu dłoń na czole.

— Gorące... Jaki on blady...

I taki smutny przytem.

— A dużo zapłaciłeś?

— Ba! Piętnaście groszy.

— Może on ci odda.

— A jakże!

— A czy on wiedział, że to była fałszowana marka?

— Wiedział... Żeby nie wiedział, to by nie sprzedał jej za piętnaście groszy. Dobra Nikaragua warta najmniej złotówkę...

Bronia się decyduje:

— No, słuchaj, ja ją od ciebie kupię...

Ludek się rozjaśnia.

— Kupisz?

— Kupię.

— Za piętnaście groszy?

— Masz tu piętnaście groszy. Dawaj Nikaraguę.

Ludek odkleja z radością fałszywą Nikaraguę od albumowej kartki.

Potem, zachęcony, proponuje:

— Słuchaj, Brona, a możebyś ty jeszcze co u mnie kupiła?

— Tymczasem dosyć...

— Jabym ci teraz sprzedał prawdziwe marki... i nie drogo...

— Nie mam już pieniędzy.

Ludek chowa więc album pod kamizelkę i kieruje się ku wyjściu.

— Wychodzisz?

— Idę do ogrodu Saskiego.

— Nie lepiej zostaćby w domu? Głowa cię gorzej jeszcze rozboli.

— Kiedy już mnie wcale nie boli.

IV.

Jakież to inne życie tu, w wielkiem mieście— jakby ci kto skrzydła przyprawił do duszy.

Przybywały wprawdzie i do Kielc echa wielkich myśli, nowych idei, nieznanych marzeń, ale przybywały one zdaleka, jakby od długiej drogi omdlałe; porwano je tu, obnoszono, świętowano niemi, ale w ciasnem kółku kilku, kilkunastu ludzi, którzy mieli szersze łaknienia; te myśli, ideje i marzenia nabierały jakichś form trwałych, sztywnych, nieruchomych. Pozostawało w każdej myśli coś niewyjaśnionego, w każdej idei coś dziwacznego, w każdem marzeniu coś niedopowiedzianego.

Przechodziły one przez młodociane dusze, wstrząsając je niepokojami i lecząc od tych niepokojów nadziejami.

Niejasne były i te niepokoje, i te nadzieje.

Ale pozostawało po nich w duszy coś bardzo mocnego, bardzo wyraźnego, bardzo trwałego; wiara, że gdzieś tam, na szerokim świecie, są serca,

które czują każdy ból ludzkiej istoty, i głowy, które wszystkie problematy życia rozwiały i ręce, tak mocne, że podołają wszelkim potrzebom.

To wszystko jednak „gdzieś"... „tam"... Co innego teraz... co innego...

Życie w Kielcach, to jakbyś płynął na małej łódeczce po wązkim dopływie rzeczki, która sama nie jest bardzo szeroka; fala łagodna niesie cię naprzód powoli i nieznacznie; utkwisz w nią wzrok— zdaje się, że stoi, zechcesz przeniknąć ją w dniu jasnem spojrzeniem — dosięgniesz zaraz miałkiego, jednostajnego piasku; i brzegi tak blizko z jednej strony i z drugiej, baczyć trzeba ciągle na łódkę, aby nie zatrzymała się przy pierwszym lepszym zakręcie...

Wielkie miasto — to jak morze; pod nogami masz okręt... który już sam w sobie jest światkiem; pod nim głębie nieznane, przed nim nieogarnięte szerokości; twój cel: nowe światy i głowę nosisz wysoko, a burze się o twe czoło opierają; i teraz dopiero czujesz swą godność i swą potęgę, i teraz dopiero wiesz, co to jest być człowiekiem...

To „gdzieś", to „tam"—to jest tu właśnie. Tu czują, myślą, działają ci ludzie o sercach ogarniających tyle, o potężnych mózgach, o woli niezłomnej.

Anatol poznał już ich paru, a jeden z nich nawet przychodzi czasem na ulicę Wspólną.

Anatol ma w Warszawie wielu znajomych, życzliwych, przyjaciół. W swojej klasie jest to jedy-

ny kolega, który ma sympatyę powszechną i żyje we wszystkich kołach.

Jedni cenią w nim hart, o którym tyle mówi sieroce życie Anatolka; wiedzą oni, że Anatol, mając jeszcze lat trzynaście nie pozwolił na rozproszenie się rodziny, utrzymał wszystkich w kupie, wychowuje, prowadzi całe rodzeństwo; niejeden przez ciekawość, przez szacunek, przez admiracyę zajrzał na Wspólną, aby to szczególne gospodarstwo własne zobaczyć. Anatol ma dzięki temu uznanie bardzo poważne i dopuszczanym bywa na zebrania, w których biorą udział studenci uniwersytetu. Inni koledzy cenią znowu w Anatolu poprawność jego tualety i zalety jako towarzysza; ci namówili go na lekcye tańca, które zorganizowano właśnie w domu jednego z kolegów, syna dyrektora kolei. Anatol sam z tych lekcyi tańca szydzi. Głupstwo to wierutne te tańce, polki, walce, kontredanse, ale ostatecznie lepiej jest w życiu umieć nawet i tańczyć, niż nie umieć. Zresztą i to głupstwo, ważna natomiast rzecz: stosunki. Dzięki stosunkom właśnie Anatol ma korepetycyę za dwadzieścia rubli miesięcznie.

Ten człowiek o wielkiem sercu, wielkim mózgu i wielkiej woli, który zachodzi czasem na Wspólną, nazywa się Łaszewski i jest na razie studentem, wydziału fizyko - matematycznego. Syn to biednego szewca, o czem wszyscy wiedzą z boku, sam bowiem Łaszewski nigdy nie szuka w tem zadowolenia dumy własnej.

I on od dziecka idzie sam, o własnych siłach, egzystuje stypendyami i korepetycyami. Przez dwa lata żył herbatą i suchemi bułkami, dwa całe lata...

Teraz, odkąd dostał stypendyum imienia Kopernika, ma na obiady „w taniej kuchni”—tylko, że mało co dobrze trawi. Przez te dwa lata krwawe popsuł sobie kompletnie żołądek... Ale to głupstwo. Byłoby też czem się zajmować.... żołądkiem!

Wielka to uroczystość na Wspólnej, kiedy Łaszewski przyjdzie.

Cisną się do niego, kołem opasują, wpatrują się w niego, jak w kolorową tęczę. Każde słowo jego silniejsze spada cicho i poważnie na samo dno kilku serc ludzkich.

On wie, że czekają tu na niego otwarte uszy i otwarte dusze.

Zagląda więc chętnie, siada w środku i mówi—mówi długo—szczerze, to, co się w nim nagromadziło i co go gniecie, dusi.

Ludzkość... Przyszłość... Szczęście... Ta uroczystość jest świętem bolesnem. Słowa tego apostoła są gorzkie nad miarę, z warg sączy mu się piołun i ocet, oczy świecą blaskami nienawiści, ręce drżą do jakiejś egzekucyi bezlitosnej. Anatol słucha mów tych skupiony, poważny, spokojny.

Kiedy niekiedy przyświadcza:

— Tak, tak... Naturalnie...

Leona wprawiają te słowa palące w jakiś pożar. Ma ich za wiele, za wiele.

Więc czego potrzeba?

Ofiar? —Poświęcenia?

Chodźmy wszyscy i poświęćmy się zaraz, dziś... Po co czekać! Natychmiast... Bronia przestaje wiedzieć, co się z nią dzieje, od chwili, w której Łaszewski zaczyna mówić. Może przez kran otwarty woda zalać jej kuchnię, może samowar jej się rozlutować, ogień wysypać z pieca i podłogę spalić, może wszystko trzaskać, pękać, ginąć, ona, zasłuchana, zatopiona, nic nie pamięta, o niczem nie wie... Drży w niej nerw każdy, dusza jej mdleje i umiera... Ale oprócz tej litości bezmiernej nad bólami świata, oprócz tego współczucia nieskończonego dla wszystkiego, co łka i ginie—wchodzi do duszy Broni cały rój myśli i sądów, które rozszerzają jej głowę, otwierają oczy na nowe obszary życia, kształcą i prowadzą naprzód. Pewnego razu mówi zdumiona do braci:

— To ja dopiero teraz rozumiem co to jest kobieta.

— Taak—powiada Anatol.

— A widzisz!—powiada Leon.

Niemała praca odbywa się teraz w głowie Broni; różne myśli po jej głowie spacerują, spotykają się, nawołują jedna drugą, kombinują, splatają się; czasem ze spotkania się dwóch myśli tryska jakieś nagłe a mocne światło, przy którem spostrzega dziewczyna głąb, ciemną dotychczas dla niej samej, własnej duszy. Pełną jest zadziwień, pełną oburzeń...

Przy stole wieczornym prowadzą się teraz rozmowy „ogólne“.

— Wiesz—powiada Broni pewnego razu Leonek — siostra jednego z moich kolegów pojechała dziś do Paryża, na uniwersytet.

— Na uniwersytet?

— Tak, na medycynę.

— Na medycynę?

— I, mówię wam — kompletnie ładna panna. Gdyby chciała, mogłaby odrazu wyjść za mąż...

Anatol powiada!

— Dzielna dziewczyna.

— O! tak—mówi Leonek—to jest *człowiek*.

— Mój Boże! mój Boże! — myśli Bronia z zazdrością.

Czasem z Leonkiem usiądzie Bronia sam na sam — wtedy właśnie najlepiej się mówi o ogólnych rzeczach — i snują długą, poważną, gorącą, rozmowę.

— Ja wiem, ja wiem—mówi Bronia—kobieta to taki sam człowiek, taki sam członek społeczeństwa, taka sama część ludzkości, jak i mężczyzna...

— Naturalnie...

— Do tego samego celu idą oboje: do powszechnego szczęścia. I kobieta powinna mieć tyle siły moralnej, co jej ma mężczyzna, i tyleż wiedzy, co on. Jedno dla obu płci świeci słońce na niebie i jeden ideał w duszach. Czyż to nieprawda? Powiedz...

Powinny więc być jedne obowiązki i jedne prawa. W czasie rewolucyi francuskiej kobiety tak samo umierały pod nożem gilotyny jak i mężczyźni.

— Wiesz Brona, ty zaczynasz się wyrabiać...

Ale Bronia na pochwały uśmiecha się smutno. Staje jej zaraz na myśli ta panna, która pojechała na medycynę do Paryża... *Człowiek*... Bronia, która nawet dwóch klas na pensyi nie skończyła... nie, ona nie będzie nigdy członkiem społeczeństwa tak, jak ona to rozumie, ani częścią ludzkości, o jakiej marzą jej bracia... A takby chciała.

Przychodzi to jej często na myśl. W ciągu dnia nie odczuwa jeszcze zbyt żywo swego położenia, tysiące zajęć drobnych rozrywają jej żal, ale w ciszy wieczornej, kiedy kładzie się spać, ostatnia często, opierając głowę na poduszce, skarży się żałośnie Panu Bogu, że ją uczynił taką marną.

V.

W materyalnem ich położeniu prawie niema zmiany. Dochody są teraz obfitsze, ale jak się też i wydatki powiększyły! Bronia jest bardzo gospodarna, ale czy to człowiek może obliczyć naprzód każdy grosz? Przytem „nieprzewidziane wydatki“. A czasem zechce im się sprawunek jakiś uczynić, czasem przyjdzie im do głowy bal sobie jakiś wyprawić... Zdaje się, że starczy a tu koniec miesiąca powiada: Pokutuj teraz, bratku!...

I na Wspólnej bywają dni braku, niedostatku.

Tylko z jaką to teraz fantazyą przyjmowani są ci goście.

Jeżeli taki człowiek, jak Łaszewski, mógł przez dwa lata jeść bułki suche i herbatę, toć i oni mogą przez jakiś tydzień tego samego sprobować.

Tylko, że życie potrafi, jak zechce, wynaleźć sposób i na największą fantazyę.

Przychodzi naprzykład taka choroba Henia...

Chłopcu powietrze warszawskie od początku położyło się na piersiach, jak kamień. Wątły on był zawsze, potrzebujący szczególniejszej opieki, ale choć obawa istniała, aby po ojcu konstytucyi słabowitej nie odziedziczył, chował się zupełnie zdrowo, póki mieszkali w Kielcach. W Warszawie począł mizernieć, bladym się robić i kwaśnieć.

Może od początku był chorym, ale tego nikt nie domyślił się.

Dość, że na wiosnę wybuchła gorączka, ból głowy, dreszcze.

Wezwano lekarza.

Przyszedł kilka razy i wyleczył Henia.

— To państwo mieszkaliście przedtem w Kielcach—powiada. — W sam raz dla niego. Położenie wysokie, zdrowe, a chłopiec ma właśnie budowę nie nadzwyczajną. W tym wieku mógłby mieć trochę szersze piersi. A no, nic. Niechże się dobrze odżywia, rano, na śniadanie, najlepiej dawać mu kakao na mleku. A w każde wakacye wysłać na wieś...

— Na wieś...

— To bezwarunkowo. I niech siedzi tam jak tylko może najdłużej...

Będzie o czem myśleć.

Tymczasem jednak o tem myśleć potrzeba, że choroba Henia pożarła całomiesięczny dochód.

Bronia odwołuje się do chłopców.

Leonek ma ledwie pół rubla. Daje go natychmiast.

Anatol w tej chwili ma tylko trochę długów (zresztą niewiele). Ale zanosi zegarek swój do lombardu i daje siostrze półczwarta rubla.

Bronia zakupuje odrazu funt kakao i cukru. Co będzie, to będzie, ale Henio ma przynajmniej zapewnione swoje śniadania. Jakoż chłopiec szybko się poprawia i idzie do szkoły.

Nastaje serya dni, pełnych słońca, bardzo ciepłych, które główkę jego podnoszą do góry jak listek, który był nadmrożony.

Ale w domu bieda coraz gorsza.

Jest jeszcze herbata, są bułki, ale pojutrze to chyba tylko czystą wodą żyć przyjdzie. Co zaś było można zrobić, to się już wszystko zrobiło.

Fantazya nieco się kurczy.

— Za tydzień dostanę za moją korkę — pociesza Leonek.

Ba! za tydzień.

Bronia pożyczyła już od sąsiadki rubla, niby na parę godzin. To cały kredyt...

Leonek przynosi jeszcze pożyczonych od kolegów kilka złotych. Akurat dla Henia na befsztyki.

Chłopcy są źli, bo głodni ciągle piekielnie.

Bronia z osłabienia słania się na nogach.

Już niedaleko, niedaleko, ale nigdy jeszcze nie było tak ciężko „dociągnąć do pieniędzy", jak tym razem.

Prawdziwe to szczęście, że Leonek dostaje za swoją „korkę" jakoś o dzień wcześniej, niż się spodziewał.

Wraca do domu kłusem i wpada z pełnemi kieszeniami bułek i całym funtem rozmaitości.

— Jeszcze nie dziś zdechniemy! — woła od progu.

Radość!

Przypominają sobie różne chwile z dnia wczorajszego i onegdajszego. Anatolek wesoło parafrazuje Dantego, z którym tylko co się poznał:

— Niema większego szczęścia nad wspomnienia o dniach niedoli w chwili rozkoszy.

I przegryza ten frazes, z którego jest bardzo zadowolony, kiszką pasztetową.

Nazajutrz Bronia wstaje z głową swobodną, jak niebieskie ptaszę.

Chłopcy wyruszają do szkół swoich z rzadką fantazyą. Nawet słońce od samego rana pakuje się do pokojów, rozpościerając swe złoto po rozmamłanych łóżkach.

Bronia zaczyna ogarniać łóżka, nucąc piosnkę jakąś.

Naraz, podniósłszy poduszkę z łóżka Ludkowego, spostrzega leżącą na prześcieradle czarną portmonetkę.

Portmonetka Ludka.

Bierze ją w rękę...

Jaka ciężka!...

Otwiera...

Pełno pieniędzy.

Nogi się pod Bronią chwieją z wrażenia; musi na krawędzi łóżka przysiąść.

Ciekawość ją bierze przeliczyć te pieniądze...

Jedenaście rubli przeszło większymi, i mniejszymi srebrniakami.

— Mój Boże!—myśli z głębokim smutkiem. — On miał tyle pieniędzy, a myśmy mało nie poumierali z głodu.

Nagle słyszy trzask drzwi wchodowych.

Kładzie szybko portmonetkę pod poduszkę i odchodzi od łóżek.

Tak, to Ludek. Spostrzegł na drodze, że zapomniał pieniędzy dziś wziąć ze sobą i popędził co sił z powrotem. Wpada zdyszany, czerwony, spocony. I natychmiast rzuca badawcze spojrzenie na twarz siostry.

On wie, że ona mu nie weźmie ani grosza — on to wie...

Ale czy ona widziała jego portmonetkę czy nie?

Bardzo chciałby to wiedzieć, bardzo, i dlatego to tak przenikliwie spogląda na siostrę, że mu ledwo oczy nie wyskoczą z głowy.

— Czyś zapomniał czego?—pyta Bronia z udaną obojętnością.

Nie odpowiada otwarcie, wydaje tylko parę nieokreślonych dźwięków.

— Te... hm...

Kręci się po pokoju.

I kiedy Bronia otwiera okno, Ludek przysuwa się do swego łóżka i, wściekły na swoją pamięć, gwałtownym ruchem łapie portmonetkę i wsuwa ją w głąb kieszeni.

Na wychodnem jeszcze raz zagłębia niespokojne spojrzenie w oczach Broni.

Oczy Broni nic mu nie mówią.

Ale on temu ich milczeniu niezupełnie dowierza.

— Nie spóźnisz się?—mówi Bronia.

— E, nie.

I wychodzi.

A Broni zaraz opadają ręce i nie odrazu może zabrać się do roboty.

— Jaki on jest, ten chłopiec — myśi z serdecznym żalem—jaki on jest...

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ.

CZĘŚĆ V.

I.

Mało ludzi było kiedykolwiek tak mocno zdecydowanych na powędrowanie przez ten padół mizeryi, z końca w koniec, w pojedynkę, nie zmieniając kawalerskiej kondycyi, jak pan Jerzy Pawliszewski, sędzia koronnego sądu, wydziału spraw cywilnych.

A jednak i ten człowiek, którego charakter, zarówno jak i wiedzę powszechnie ceniono, już... już znajdował się niemal na równi pochyłej, której dolny koniec oparty jest o stopnie ołtarza.

Wprawdzie pochyłość początkowa tej równi taki ma łagodny i nieznaczny spadek, że często niewiadomo, iż człowiek wstąpił już na tę niebezpieczną maszynę; wprawdzie tarcie początkowo tak jest znacznem, iż wzbudza w człowieku myśl złudną o zdolności zatrzymania się w miejscu dowolnem. Ale to są wymówki, dobre dla ludzi innej miary, niż Pawliszewski, sędzia. On zna siebie na wylot. Nie jest zdolny do zrobienia niespodzianki samemu

sobie. On wie, co robi, od chwili, kiedy robi, a nawet zanim coś robić zacznie, to już wie, co robić będzie. Jeżeli więc zbliżył się do brzegu górnego tej społecznej równi pochyłej, która jest gwarancyą ciągłości ludzkiego bytu, to dlatego, że tak właśnie chciał... Ale oto jak się przedstawia ten epizod, tak niezwykły w tem systematycznem życiu:

Pawliszewski był istotą chorowitą od najmniejszego dziecka. Że się wychował, że żyje, zasługa to nieoceniona matki, która wydzierała go przez lat wiele z chciwych rąk śmierci. Straciwszy słabowitego męża po kilku latach zaledwie szczęśliwego, chorobą jedynie zakłóconego pożycia, straciwszy następnie dwóch synów, jednego po drugim, (umarli jak dorastali) pani Pawliszewska skupiła całą miłość swoją na ostatniej istocie, jaka jej jeszcze pozostała, na najmłodszym Jerzyku, i otoczyła go staraniami, nietylko kochanemi, ale i umiejętnemi, w długich doświadczeniach nabywszy smutnej praktyki w obchodzeniu się z chorymi.

Ona to dokazała cudu, że chłopiec i gimnazyum skończył i uniwersytet, i opuściła go dopiero wtedy, gdy mógł już się bez niej obejść, gdy stało się rzeczą pewną, że syn, byle się dobrze pilnował, żyć będzie długie lata. Na śmiertelnych poduszkach jeszcze go przestrzegała:

— A strzeż się, Jerzy, zawsze...

Tak wychowany Pawliszewski jeden miał przed oczyma cel: zachowywać zdrowie...

Pojęcie zdrowia i obawa choroby były to dwa punkty stałe, około których wiązały się wszystkie

jego myśli, uczucia, chcenia, projekty, marzenia, całe duchowe życie. Jego mieszkanie było zawsze zwrócone na południe; jego garderoba zawierała zawsze różne rzeczy ochronne: koszulki wełniane i siatkowe, napierśniki, nabrzuszniki, szale i szaliki; co rano zawijał się na minutę w mokre prześcieradło; co rok wyjeżdżał w góry, jeżeli czuł się gorzej, na wieś, gdy się miał lepiej; nie jadł wieprzowiny, ani baraniny, ani ryb, ani wielu innych rzeczy, względem których miał podejrzenia; wieczorami nie wychodził; chwili zachodu lękał się, jak morowego powietrza; nie pił, nie palił, nie grał w karty.

Oglądał on świat przez pryzmat specyalny, który mu pokazywał obrazy życia, nachylone pod innym kątem, niż zwykłym zdrowym ludziom. Zrozumiał on dość wcześnie, że znajduje się na świecie jakgdyby niezupełnie legalnie, a w każdym razie tymczasowo tylko. Życie nigdy nie rozwijało się w jego wyobraźni, jako szczere marzenie, nakształt dalekiej perspektywy, gdzie na dalszych planach tyle widać szczęśliwości.

To też w epoce, kiedy nowe idee wyłamują z ust młodzieńczych baryery ciasnego samolubstwa i wprowadzają uroczyście myśl na święte szlaki powinności, Pawliszewski powiedział sobie, że pierwszym jego obowiązkiem jest oszczędzić ludzkości nowych, podobnych do niego filarów. Rozwijał nieraz gorąco przed kolegami, że społeczeństwu potrzeba przedewszystkiem ludzi normalnych, zdrowych, z tęgiemi płucami i mocnemi kośćmi i dowo-

dził im, że żaden przewrót socyalny nie uszczęśliwi kalek.

Los go raz wystawił na próbę. Przez życie przesunęła mu się młoda kuzynka, jak kwiat wiosenny wdzięczna. Zaszeleściało w młodzieńcu serce i wszystko się w piersi podniosło.

Ale było to wtedy, kiedy Pawliszewski najgoręcej zajmował się szczęściem ludzkości—w uniwersytecie jeszcze. Spełnił więc powinność swoją z bohaterstwem; ułożył serce nizko, jak było dawniej, i sam jeden tylko przysłuchiwał się żałosnemu skowyczeniu.

W życiu jednak temu biedakowi poszło równiej i gładziej, niż setkom ludzi, co się nigdy za biedaków nie mieli. Wszystkie jego ostrożności i obawy przygotowały w nim człowieka systematycznego, ścisłego, punktualnego, sumiennego. I on też, spostrzegłszy się wreszcie, że nietylko nie umiera, ale nawet awansuje, począł otuchy nabierać.

Czyżby danem mu było doczekać emerytury?

W to jeszcze nie mógł uwierzyć. Ale jednak, pełen zadumy, poszedł raz i drugi na pogrzeb tego i owego z kolegów, którym nieraz zazdrościł ich piersi.

O szczęściu ludzkości myślał jeszcze, ale już bardzo spokojnie; jednak tem się od wielu swych dawnych kolegów różnił, że swoich poglądów na społeczeństwo nie odmienił. Zawsze uważał, że zdrowi, normalnie zbudowani ludzie, to grunt, to fundament, to przyszłość, to wszystko.

Oprócz paragrafów procedury cywilnej kodeksu Napoleona i opinii senatu zajmowały go jeszcze postępy współczesnej medycyny.

Miał też szczery szacunek dla ludzi, poświęcających się teoretycznie i praktycznie sprawom hygieny i był względnie gorliwym członkiem Towarzystwa Kolonii letnich dla dzieci.

Ale do komitetu wybrać się nie pozwolił i obawiał się, że nowe obowiązki naruszą jego spokój, który uważał za warunek, za duszę swego zdrowia.

W sądzie żartowano sobie trochę z jego obaw i ostrożności.

Prezes nawet mówił:

— Nie, panowie, to u niego już rodzaj manii... Przecie zdrów człowiek.

Lekarze istotnie obecnie nie spostrzegali nic, coby mu mogło bezpośrednio grozić. Pawliszewski mimo to gorliwie upominał się, aby go gdzie na lato wysłano.

— Cóż? W góry mi trzeba? — nastawał.

Odpowiadano mu:

— Hm! To nigdy nie zawadzi.

— A może tylko na wieś?

— Można na wieś.

Widząc takie obojętne traktowanie kwestyi swego zdrowia, skarżył się Pawliszewski nieraz gorzko na niedbalstwo lekarzy.

Jednak ciągle nie umierał. W ostatnim czasie nawet mu na wadze przybyło.

Zrazu to go strasznie przeraziło, bo fakt był niebywały.

— To musi być chorobliwe — jęknął.

I zwołał konsylium.

Od tej chwili poczęło mu się nawet naprawdę zdawać, że może i doczeka amerytury.

Trybu żywota nie zmieniał jednak ani na jotę. Nie rozumiał już życia bez hydropatyi, surowego befsztyku, stałej temperatury w pokojach, strachu przed chwilą zachodu słońca, wełnianych i siatkowych kaftanów, specyalnych szali na każdą porę dnia i roku. Wszystko' to mu niejako wsiąkło w charakter.

II.

Tego dnia, otworzywszy okno w saloniku swego letniego mieszkania, spostrzega Pawliszewski odrazu, że domek sąsiedni jest już zajęty.

Spostrzega to naprzód po otwartych okienicach.

Ten sąsiedni domek jest najmniejszem letniem mieszkaniem w mokotowskim parku: kuchenka i pokój—widocznie zabytek jakiś po byłym folwarku. Było to może niegdyś mieszkanie ogrodnika lub stróża: dziś przybito do okien zielone okienice, przystawiono ażurową altankę, dzikie wino tu i owdzie puszczono — nie różni się bardzo ten domeczek od innych, które rzędem stoją, każdy małym ogródeczkiem otoczony i osobnemi sztachetkami oddzielony, na górce o pochyłych skarpach.

Nie czeka długo Pawliszewski na potwierdzenie swego domysłu. W chwil kilka ukazuje się w ogródku chłopiec jedenasto czy dwunastoletni.

Pawliszewski się krzywi.

— Dzieci w sąsiedztwie.

Jeszcze chłopcy i w tym wieku. Nie może być nic gorszego.

Ma jednak nadzieję, że to jest jedynak. Wydaje Pawliszewski swojej wiernej Latoskiej, która tak dobrze zna jego delikatny żołądek, dyspozycyę na obiad. Potem wraca do okna w salonie i widzi, że przez sąsiedni ogródek przechodzi młoda dziewczyna. Przypatruje się jej: dziewczyna jest dość wysoka, rozwinięta, głównie w kościach, pochylona nieco naprzód trochę niewdzięcznie i nieładnie.

Wygląda mu na nauczycielkę.

— Brona—woła chłopiec na dziewczynę z drugiego końca ogródka.

Nie, to nie jest nauczycielka, przynajmniej chłopca, to jego siostra.

— Kto jeszcze?

Pawliszewski siada przy oknie w fotelu i studyuje jakieś grube dzieło o hygienie węgierskiego uczonego, pełne bardzo ciekawych i statystycznych tablic. Niedaleko okna stoi jabłoń, w której świergoce masa wróbli. Słońce wychyliło się nad rozłożystą koroną jabłoni i razem z Pawliszewskim przegląda statystyczne tablice węgierskiego hygienisty.

Pawliszewski kiedy niekiedy odejmuje oczy od interesującego dzieła, aby policzyć białe chmurki na jasnem niebie, posłuchać kłótni ptaków w jabłoni i zobaczyć, kto tam jest jeszcze więcej w sąsiedztwie. Białe chmurki na jasnem niebie, swarliwe

wróble w jabłoni i ludzie, zamieszkający biały domek zaciekawiają go w równym stopniu. Ta ciekawość nie zaprowadzi go z pewnością do piekła. Na drugi dzień na niebie niema ani jednej chmurki; wróble w jabłoni kłócą się ciągle (i o to samo); po sąsiednim ogródku chodzi chłopiec jedenasto—dwunastoletni i młoda dziewczyna, pochylona nieco naprzód, niezładna.

Zdaje się, że jest ich tam wszystkiego dwoje. Hm!... Tem lepiej.

Na trzeci dzień znowu białe chmurki, tym razem na Zachodzie, cała kupa, jak stado baranków i owiec na górach; wróble w jabłoni kłócą się o to samo ciągle, ten chłopiec z sąsiedztwa jest blady mizerny i ma wązkie piersi.

Hm... Istotnie ma wązkie piersi.

Ciekawa rzecz, czy jego ojciec lub matka nie mają suchot. Może jego babka lub dziadek.

W każdym razie mają rodzice czy nie mają suchot, dobrze uczynili, że chłopaka wysłali na świeże powietrze. W dziele węgierskiego uczonego jest właśnie statystyka letnich mieszkań we Francyi w Anglii, w Niemczech, wszędzie, jednem słowem, daleko więcej ludzi wyjeżdża z miasta na wieś podczas letnich miesięcy, niż u nas.

Wogóle my...

Z jadalnego pokoju Pawliszewskiego widać kuchenkę sąsiadów; młoda dziewczyna sama gotuje obiady. Ludzie muszą być niezamożni. Rodzina urzędnicza zapewne. Ojciec pewno służy gdzie

w banku lub na kolei. W niedzielę zapewne go tu zobaczymy...

Zbliża się wieczór. Słońce czerwienieć poczyna, przestaje palić się jarzącymi blaskami na skrajach i zsuwa się wolno, jak ostra tarcza, wycięta z rozpalonej blachy.

Pawliszewski zamyka szybko okno w salonie.

I naraz słyszy przez niedomknięte jeszcze szyby głos doniosły:

— Heniu, Heniu!

Na to wołanie energiczne i trochę niecierpliwe odpowiada głos:

— A cooo?

— Czy nie widzisz, że słońce zachodzi?

— Widzę!

— Chodźże zaraz do domu.

Pawliszewski zakręca ostatnią sztabkę ręką trochę drżącą. W sercu jego powstało nagle coś słodkiego i czułego i jakby drogiego.

Nie odchodzi od okna i patrzy przez szybę na chłopca, który wchodzi powoli na górkę. Siostra stoi na dróżce, przed furtką i niecierpliwi się, że braciszek się nie spieszy.

— Prędzej-że! Jakiś ty niedobry!

— Idę przecie...

Pawliszewski ma ochotę wybiedz na dróżkę na dół i pomódz mu nieco wejść—za ucho. O! ale on, na dworze, o zachodzie słońca! Prędzej ta jabłoń zacznie rodzić śliwki.

Nie rusza się z miejsca, ale nie przestaje parzeć w okno.

I wymyśla leniwemu chłopakowi oczyma:

— A prędzej-że, nygusie, prędzej!.. Lezie jak wół w jarzmie... A chcesz być zdrów...

Dziewczyna niecierpliwi się ciągle, ale gdy chłopak stanął na górce, bierze go ręką i z łagodnym, pełnym zadowolenia, uśmiechem na twarzy, prowadzi pręciutko do pokoju.

Pawliszewski daje teraz chłopakowi ciągle nauki moralne:

— Twoje szczęście, że masz taką siostrę, bębnie jeden. Jak pacierza, powinienbyś słuchać każdego jej słowa, rozumiesz, jak pacierza...

I myśl jego przywołuje obrazy tak dawno, tak dawno przeżyte, a tak drogie sercu i pamięci, jak nic, jak nic na świecie, a dusza jego ze wzruszeniem głębokiem modli się za tę, której zawdzięcza, że jeszcze żyje, patrzy na słońce, myśli i czuje...

Nazajutrz wygląda tej dziewczyny w ogródku.

Jaki to był poczciwy, jaki piękny ten uśmiech, z jakim ona prowadziła chłopca za rękę do domu. Pawliszewski myślał był właśnie, że teraz się dopiero naprawdę gniewać pocznie, a ona się uśmiechnęła radośnie. Ma on w oczach ten uśmiech.

A! oto i ona...

Dlaczego to mu się zdawało, że ona jest nieładna?

III.

Stosunki sąsiedzkie.

Pan Pawliszewski wita pannę Bronisławę ze swego okna:

— Dzień dobry, dzień dobry!

W ciągu dnia zdarza się, że spotykają się u sztachetki, która ich ogródki rozdziela. Pawliszewski opowiada wtedy pannie Bronisławie, że i on był dzieckiem chorowitem, że ciężko walczył o życie od najmłodszych lat i walczy ciągle, że musiał i musi zdobywać sobie każdy rok istnienia, każdy miesiąc, każdy dzień nieledwie; opowiada to wszystko sucho, w sposób informacyjny i wykładowy, żadnego koloru nie nadając, aby, broń Boże, nie wzbudzić żadnej litości, ani współczucia, lecz tylko, aby pannę Bronisławę przekonać, że jest autorytetem w kwestyach zdrowia. Autorytetem tym zaś podkreśla Pawliszewski swoje uwagi, poglądy, rady, wskazówki, prawdziwe niemal odczyty, tyczące się zdrowia i choroby, wykłada czego należy pożądać, co

robić, wylicza, czego potrzeba strzedz się i unikać.

Panna Bronisława ma z braciszkiem dolę nie do pozazdroszczenia.

Nie żeby był tak bardzo chory, albo zagrożony... Słabowity jest raczej, niż cierpiący. Ale jaki kapryśny chłopiec... Ile to mu razy trzeba jedno przypominać!.. Jak go na każdym kroku należy pilnować!... Jakich słów dobierać, aby go przekonywać!..

I ostatecznie, jak się uprze przy czemś, to niema rady. Z żadnym tyle nie było kłopotu! Anatolowi można zawsze trafić do rozsądku, z Leonem do serca, Ludek za kilka groszy wszystko zrobi. A z tym to już niewiadomo co...

Czasem panna Bronisława skarży się sąsiadowi na brata.

— Najgorsza to jednak, że nigdy tranu pić nie chciał.

— Nie chciał?

— Za nic.

— To tylko z początku takie przykre. Potem człowiek się przyzwyczaja.

— Kiedy on właśnie zacząć nigdy nie chciał.

— Trzeba zmusić.

Panna Bronisława wzdycha.

— Jakże ja go zmuszę?—mówi.

Pawliszewski nie zadaje nigdy pytań niedyskretnych, mających na celu zaspokoić samą tylko próżną ciekawość. Ale w rozmowie to i owo wyjdzie samo. Posiada więc Pawliszewski coś nie coś wiadomości o tej rodzinie. Wie, że ta rodzina po-

siada więcej członków, że jeden z braci jest na uniwersytecie, na prawnym wydziale, że ktoś tam jeszcze jest w gimnazyum, że mały wązkie piersi odziedziczył niezawodnie po ojcu, że bracia są także na wsi obecnie, na kondycyach, że wreszcie mały już drugi rok wyjeżdża z siostrą szukać powietrza. W przeszłe wakacye byli w Otwocku, ale tam „wielka drożyzna", znacznie większa, niż w Warszawie. Chciałby czasem Pawliszewski szczerze pomódz pannie Bronisławie i bierze Henia na stronę, aby mu wytłomaczyć, że zdrowie jest to rzecz na tym świecie najcenniejsza, klejnot największej wartości, podstawa i fundament wszystkiego. Ztąd zaś płynie wniosek konieczny: należy słuchać siostry święcie i co ona powie wypełniać natychmiast i chętnie.

Na Henia zbawienne te nauki wywierały wpływ dziwny...

Podczas gdy Pawliszewski dobiera słów najprostszych i najskuteczniejszych, Henio myśli sobie:

— Czego ten wtrąca się w to, co do niego nie należy?... Nie lepiejby mu było pilnować swego nosa!

A kiedy te zbawienne nauki powtarzają się jeszcze raz i jeszcze raz, Henio poczyna się czuć oburzony. Manifestacyjnie unika towarzystwa Pawliszewskiego i gdy ten wychodzi do swego ogródka, Henio opuszcza natychmiast swój i chowa się albo do pokoju, albo do parku.

Szczęściem Pawliszewski tych manewrów nie

rozumie i zawsze chętnie podchodzi do sztachetki, aby pogawędzić z sąsiadką o wielkich kwestyach.

— A co pani mu rano daje!

— Kakao.

— Bardzo dobrze. A czy aby na mleku?

— A jakże.

— A jakie kakao pani kupuje?

Panna Bronisława nie wie. Ale w tej chwili będzie wiedziała. Odwraca się od sztachetki i kłusem leci do domu. Pawliszewski patrzy za nią.

— Jaka ta dziewczyna jest dziwnie prosta — myśli.—Niema w niej nic tego czegoś, co to zaraz w obec mężczyzny...

Po chwili przynosi panna Bronisława puszkę blaszaną.

Pawliszewski bierze puszkę w rękę z miną eksperta.

— Suchard? W tem kakao jest za dużo cukru. Ja znam je. A tu nie o cukier idzie, ale o białkowe części, które są w dobrem kakao i obfite i łatwo się asymilujące. Niech pani żąda zawsze kakao Van Houten.

— Van Houten.

— Tak, Van Houten. Czyste jest i mało zawiera cukru. I najzdrowiej i najekonomiczniej, boć przecie cukru można zawsze dodać z cukiernicy, po co więc za niego płacić, jak za kakao!

Po jakimś czasie pociesza Pawliszewski pannę Bronisławę:

— Powiem pani, że chłopiec się poprawił.

— Doprawdy?

— Stanowczo się poprawił. Niema wątpliwości. Jak pani będzie kiedy z nim w mieście, to proszę go zważyć. Jestem pewien, że mu coś przybyło. I cerę ma jaśniejszą...

— I mnie się to zdawało, ale byłam pewną...

— Ile chłopiec ważył, jakeście tu państwo przyjechali?

— Nie wiem.

Pawliszewski ze zgrozy, ze zdumienia rozkłada ręce.

Po chwili oburzenia milczącego pyta:

— Pani go może nigdy nie ważyła?

— Nigdy.

Pawliszewski nic już na to nie może odpowiedzieć.

Dopiero, gdy pierwsze uczucie spływa, tłomaczy pannie Bronisławie.

— Ależ, proszę pani, ważenie się peryodyczne należy do prymordyalnych obowiązków człowieka... Szanujący się człowiek powinien przynajmniej raz na miesiąc się ważyć, a gdy coś mu tylko nie tak, jak potrzeba, to i częściej, choćby co tydzień. Ja się ważę dwa razy na miesiąc regularnie od lat piętnastu najmniej... Waga, proszę pani, to jak rachunek sumienia...

Panna Bronisława obiecuje ważyć Henia dwa razy na miesiąc. A potem pyta:

— Czy panu przybyło w ostatnim miesiącu?

Pawliszewski zawsze powiada sobie: dziwna dziewczyna" ilekroć panna Bronisława zaczepi *o jego zdrowie.*

Odpowiada:

— Pół funta:

Panna Bronisława pyta:

— To już dobrze, nieprawda?

— Jak jest lut, to i tak już nieźle.

Ta dziwna dziewczyna zainteresowała się odrazu jego zdrowiem, jak jej tylko powiedział, że jest ono, jakby wywalczany teren u nieprzyjaciela, piędź za piędzią. Zaraz z początku poradziła mu zapinać szale i szaliki nie na szpilki, ale na agrafki, i zaraz odpięła jedną od fartucha swego, aby dać mu wzór i nauczyć obchodzenia się z nią.

— Ależ to pyszny wynalazek!—ocenił Pawliszewski.

Istotnie, pyszny wynalazek! Od tej chwili żaden szal nie śmie mu się odpiąć.

I jak ona naturalnie, bez ceremonii i niemal instyktownie zwraca mu na to lub owo uwagę.

Potrafiła mu raz krzyknąć ze swego okna do jego okna, przez dwa ogródki:

— Niech pan dziś będzie ostrożny, bo wilgoć! W nocy deszcz padał!...

To nie jest ani wdzięczność za jego rady, ani współczucie, ani, broń Boże, niema w tem najlżejszego cienia wyrachowania. Już tak ta dziewczyna nie myśli o tem, aby się podobać! Doprawdy, jak żadna inna... Pawliszewski umie rozpoznawać ludzi...

Nic, to tylko jakaś wrodzona jakby troskliwość, umiejętna, a ani trochę się nie narzucająca, która bez myśli i woli dziewczyny roztacza się w

około niej i ogarnia wszystkich, którzy blizko żyją, poruszają się: swoi czy obcy...

I jakim to ona czasem zabawnym tonem odzywa się do Pawliszewskiego... Prawie tak samo, jak do Henia...

A raz przecie zdarzyło się coś, czemuby może nikt nie uwierzył:

Zagadał się Pawliszewski z panną Bronisławą przy sztachetach. A tu słońce spada, spada, coraz niżej i tak cicho, a tak prędko, jakby ukradkiem przycupnąć chciało za pagórkiem. I Pawliszewski tego nie spostrzega. Jeszcze chwilę, a słońce dotknie brzegiem pagórka.

A panna Bronisława porywa się energicznie:

— Ale to na pana już wielki czas. Dobranoc.

I odbiega od sztachetek.

Pawliszewski wraca prędko do pokojów. Jest zadumany tego wieczoru. Myśli o pannie Bronisławie, a myśli z głębokiem uznaniem.

I powiada sobie:

— To jest kobieta, która byłaby zdolna mnie zrozumieć...

IV.

Powoli, stopniowo doszło do tego, że Pawliszewski interesować się począł nawet tem, co rośnie w sąsiednim ogródku.

Interes ten przyjmował formę życzliwej krytyki.

— Cóż?—pytał.—Goździki idą?

— Nieszczególnie.

Przyjmował to do wiadomości, jak rzecz zupełnie naturalną.

— A bratki?

— Nie bardzo.

Robił minę jakby się tego po nich spodziewał.

— Lewkonje?

— Zginęły mi zupełnie.

Kiwał głową w sposób, przyznający lewkonjom właśnie słuszność.

Sąsiadka niemało jest swemi ogrodniczemi niepowodzeniami zmartwiona.

Cała jej pociecha to:

— Jedna rezeda mi tylko idzie.

Pawliszewski powiada:

— Już to, widzę, sąsiadka nie jest wielką ogrodniczką.

— Bo to... pierwszy raz mam ogródek.

— A w Otwocku nie było?

— Tam szczery piasek.

— Państwo zawsze mieszkaliście w mieście?

— Zawsze.

— Ale przecie w domu pewno ma pani kwiaty?

— Nie mam ani jednego.

— Jakto? Nie było nigdy w domu ani jednego kwiatka.

— Za życia matki były... A potem... tak jakoś...

Pawliszewski narazie surowo sądzi pannę Bronisławę...

Kobieta, która nie umie pielęgnować roślin, kobieta, która niema w domu ani jednego kwiatka... On, mężczyzna, a proszę zobaczyć jakie ma palmy, kamelie, azalie, rododendrony... Jak u niego idą w ogródku letnie kwiatki...

Ale jest w Pawliszewskim coś, co natychmiast po wydaniu na sąsiadkę surowego sądu, wyrok zawiesza, jakaś instytucya kasacyjna, która odgaduje nieformalności procedury... I ostatecznie panna Bronisława nie jest pozbawiona praw stanu.

— Więc ja pani powiem, dlaczego się kwiatki pani nie udają... Chciała pani mieć ogródek odrazu za duży, ot, co jest... Widzi pani u mnie: jeden mały klomb — więc znać na nim staranie i pracę... A pani swoje rozprasza to tu, to, tu... Ileby to po-

trzeba wody na te wszystkie kwiaty, co pani je posiada... A tu górka, wodę trzeba nosić z dołu, sprawa niełatwa... Ot, co...

I daje jej wskazówki, uwagi, rady... A jednak panna Bronisława energicznie nosi wodę z dołu „na górkę", sumiennie całemi godzinami piele zielsko niepotrzebne...

Pawliszewski spostrzegł to, że sąsiadce wszelka praca fizyczna idzie bardzo sprawnie i łatwo... Widać do niej przyzwyczajona... Zresztą dość spojrzeć na jej ręce, aby z nich wyczytać, jak z legitymacyi, stan, do którego ta dziewczyna musi należeć, finansowe położenie rodziny... Delikatne goldcrêmy z pewnością nie dotknęły nigdy skóry na tych rękach...

Myśli sobie Pawliszewski.

— Biedniutcy to muszą być ludzie.

Bez pogardy to myśli, Pawliszewski przed pieniędzmi nigdy czoła nie schylał, w ubóstwie nie widział nigdy rzeczy niecnej.

Czerwone, zgrubiałe, pozarzynane w kilku miejscach ręce panny Bronisławy nawet nie obrażały estetycznych jego uczuć. Przeciwnie, wydawały mu się one jakoś harmonijnie dopasowane do całości tej dziewczyny, do jej szczupłej i pochylonej nieco figury, do wyrazu twarzy, do sukienek jej, nawet do koloru jej kasztanowato-ciemnych włosów.

Gdyby daną mu była moc poprawić w tej młodej pannie to, coby miała nieładnego, gdyby miał, cudem jakimś, możność te czerwone ręce odjąć i na ich miejsce przyprawić inne ręce kobiece, wybrane

przez siebie z pomiędzy rąk kobiecych na całym świecie—toby się długo zastanawiał nad tą reperacyą... I kto wie, czyby nie zostawił wszystkiego tak, jak jest... Co tam...

Powoli nabierał Pawliszewski dla swojej sąsiadki uczucia dziwnego i subtelnego, jakiego w nim dotychczas żadna inna obca kobieta nie wzbudziła: uczucia szacunku.

Porównywał ją czasem z temi pannami, które spacerowały po parku w jasnych, lekkich sukienkach, zgrabne i delikatne, z kwiatami we włosach, z książką często w rękach białych i wypieszczonych, nieraz łączące się w grupy po dwie i trzy dla zwierzeń, lub młodzieżą otoczone, uśmiechnięte, zmienne, jak bieżąca woda, grające raz zalotnem spojrzeniem, to ostrem słówkiem ironii, to obojętnem milczeniem.

I sąsiadka w prostej bronzowej sukienczynie, zmartwiona wiecznie kaprysami chłopaka, nad którym czuwała, sama pracująca w kuchni, i w ogródku, z porównania tego zawsze wychodziła wywyższona.

Mówił sobie Pawliszewski:

— To nie jest salonowa lala, o nie...

I miłemi myślami o niej myślał.

Jak zaś potężnym środkiem hygienicznym są dla organizmu miłe myśli, powszechnie to wiadoma i elementarna prawda...

Dziwnie też służył Pawliszewskiemu tegoroczny pobyt na letniem mieszkaniu... Tak mu służył poprostu, jak wieś, góry i morze połączone razem.

Kiedyś tu, ku końcowi już lata, idzie pod górkę Pawliszewski, jak lato sam rozjaśniony.

— Dzień dobry sąsiadce — powiada, mijając mały domek.

— Dień dobry! Pan może z Warszawy?

— Z Warszawy.

— Ważył się pan?

— A to dobre!

— I cóż?

— Funt... funt cały, proszę pani.

— Co pan mówi? funt?... To razem cztery funty nieprawdaż?

— Ona pamięta, ile razem — myśli sobie Pawliszewski.

Pamięta istotnie. Cztery funty mu przybyły, cztery funty. Ot, jak mu tego roku posłużył pobyt na letniem mieszkaniu.

V.

— Więc to już dziś pani przenosi się do miasta, panno Bronisławo! Będziemy jeszcze mieli masę pięknych dni.

— Trudno, trzeba... Chłopcy już zaczynają się zjeżdżać. Szkoły niezadługo otworzą.

— Jest pani zadowoloną z pobytu na letniem mieszkaniu?

— Owszem. Wszak Henio poprawił się trochę, nieprawdaż?

— Trochę, niezawodnie. Poprawiłby się znacznie więcej, gdyby pani słuchał.

— To właśnie największa bieda. Ale w każdym razie on teraz lepiej wygląda.

— Bezwarunkowo. Ale powinien się strzedz, proszę pani.

— Już ja go będę strzegła.

— Jego szczęście, że ma taką siostrzyczkę jak pani... Taką poważną i sumienną i rozumną...

— Ach, co też pan mówi... Właśnie to moje największe zmartwienie... Jabym bardzo chciała być rozumną, bardzo...

— Ależ panno Bronisławo... Wieleby to było, gdyby te piękne panny, które tu pod naszemi oknami spacerują z książkami w ręku, tyle miały w główce, ile pani ma w paluszku.

— Jaki pan jest grzeczny. To bardzo miło mieć do czynienia z takim grzecznym człowiekiem. Ale ja dobrze znam siebie. Moi bracia są bardzo inteligentni, o! bardzo! Niech pan nie sądzi o nich po mnie... Otóż oni otworzyli mi oczy na świat. Ja wiem, że życie ma zadanie poważne, surowe i że nie wolno obracać je na zadośćuczynienie własnym jedynie przyjemnościom. Ale ja jestem prosta dziewczyna, bez żadnego wykształcenia.

— Bez książkowego wykształcenia chciała pani powiedzieć...

— Ono jest najważniejsze właśnie. W książkach przecież, w dobrych, szlachetnych książkach, znajdują się całe światy myśli, które potrafią i duszę człowieka rozświecić i życie pokazać takiem, jakie ono jest... Nie, źle się wyraziłam: takiem, jakie być powinno... Czyż człowiek sam zdolny jest do poznania obowiązków, jakie posiada względem ludzkości? Chyba tylko człowiek genialny dojśćby mógł do tego własnem rozumowaniem. A ileż to razy na stulecie pokaże się człowiek genialny?... Przeciętny człowiek powinien się nauczyć... To jeszcze wielkie szczęście być przeciętnym choćby

człowiekiem... Ale ot! bracia mi dają książki... Mam tu nawet ze sobą z dziesięć dzieł. I przeczytałam je wszystkie...

— A mówi pani...

— Właśnie, kiedy nie mogę wszystkiego zrozumieć... Ja wiem, o co chodzi ale, niestety, nie mam wykształcenia. Połowy, ech! więcej, niż połowy, wcale nie mogłam zrozumieć.

Pawliszewski słucha tego z pobłażliwym uśmiechem.

Nie pierwszy raz to zresztą słyszy. Ileż razy wyrwało mu się z ust słowo szczere pochwały dla tej dziewczyny, tyle razy wywoływało ono żale i biadania. Słyszał w tych jej słowach echo tylko, echo dobrze mu z dawnych czasów znane, i zrozumiałe jeszcze, choć odległe.

I tem milszą, tem piękniejszą, tem większą wydała mu się ta zasługa, tak niepojmująca własnej swej zacności.

— Mam nadzieję, panno Bronisławo — rzekł, żegnając ją — że nasza znajomość nie skończy się u tych sztachetek... Jeżeli pani nie wyrobiła sobie o mnie złej opinii...

— Złej! Co pan mówi? Ja bardzo pana polubiłam...

— Więc pozwoli pani złożyć sobie moje uszanowanie na Wspólnej ulicy?

— Pan przyjdzie do nas?

— Jeżeli pani pozwoli?...

— Jabym nigdy nie śmiała pana zaprosić.

— Który to numer domu?

— Czterdziesty ósmy. Ale niech pan tylko nie przychodzi rano, bo nikogo niema. Najlepiej zaraz po obiedzie, o wpół do czwartej tak, bo wtedy są chłopcy w domu. Z nimi to dopiero pan będzie miał przyjemność porozmawiać! Więc w takim razie to tylko mówimy sobie: do widzenia.

— Do widzenia, tylko do widzenia, panno Bronisławo...

VI.

Zaufanym lekarzem Pawliszewskiego jest profesor Drogowski, staruszek już, rad wyręczający się asystentami, któremu ludzie nie pozwalają spocząć na zasłużonych dobrze laurach. Naukę zawsze brał szeroko i w medycynie niepokoiły go problematy przyrodnicze, o ile praktyka pozwala mu na zbytek niepokojów; w naukach przyrodniczych zaś dostrzegał różne filozoficzne utrapienia.

Długa znajomość z Pawliszewskim wyrodziła między nimi pewną zażyłość i rodzaj przyjaźni.

— Ja dziś do kochanego profesora na wielką wizytę—powiada u progu sędzia.

— Proszę, proszę.

Profesor spogląda na Pawliszewskiego badawczem, lekarskiem okiem.

— Wygląda pan sędzia nie najgorzej.

— Pozory.

— No, cóż tam?

— Źle.

— Źle! Hm...

— Bardzo źle...

— Bardzo źle? Hm... Czy tylko sędzia nie imaginujesz?

— Owszem, kochany profesorze, imaginuję, dużo imaginuję w ostatnich czasach. I to mnie właśnie niepokoi.

— Noo! O cóż chodzi nareszcie!

— Namyślam się, czyby się nie ożenić. Czy to niebezpieczne, kochany profesorze?

— Tak mi proszę mówić...

— Widzi profesor, przybyło mi na wsi w ostatnich czasach cztery funty...

— Winszuję.

— Więc mnie to uzuchwaliło... Otóż przychodzę do profesora, aby dał mi czegoś ochładzającego, uspakajającego. Żenić się? Czy to nie jest przestępstwo kryminalne myśl taka u takiego, jak ja człowieka?

Profesor zdawał się przez chwilę szukać najwłaściwszych wyrazów do wypowiedzenia swej myśli.

— Hm! hm! Co ja panu powiem? Człowiek przeznaczony jest do małżeństwa, powinienby więc iść za swem przeznaczeniem. Zresztą ja wcale nie mam sędziego za człowieka chorego... Nie... Tylko za człowieka, który, powinien żyć ostrożnie, strzedz się nadużyć, pielęgnować się starannie. Nie jesteś sędzia zbudowany do walki z centaurami, to pewna; ale serce w porządku, nerwy w równowadze, co było

złego w płucach to skamieniało i należy już do przeszłości. Instrumenty trawienia trochę delikatne, to prawda, pewne soki pokazują się leniwie, ale na to przecie rada jest... Zresztą i te niełładne gruczoły musiały się namyślić, skoro przybyło panu cztery funty.

— Jest jeszcze pewna zmora, która się nazywa dziedzicznością...

— Dziedziczność to loterya, mój sędzio: nikt nie wie na pewno, jaki wyciągnie numer. Czasem dziecko odziedziczy po ojcu, czasem po matce, czasem po kimś tam dalekim, o którym nikt nic nie wie. Zgaduj. W małżeństwie gra idzie jak w wincie—z partnerem. Ty masz karty i partner ma karty i do jednych lew dążycie; nieraz masz kartę złą w łapie i myślisz sobie: „legenda", a tu partner obrał sobie kolor i wyłazicie. Jużci, że człowiek kompleksyi słabej wnosi do interesu małżeńskiego, rodzinnego, prawdopobieństwo udzielenia potomstwu kompleksyi słabej, podczas, gdy człowiek o organizmie silnym wznosi prawdopodobieństwo obdarzenia potomstwa organizmem silnym. To prawdopodobieństwo, my, lekarze, potrafimy nawet wyrazić w pewien sposób matematyczny, jakkolwiek to nas nie czyni ani trochę mędrszymi. Kto wie, czy naprawdę pomiędzy prawdopodobieństwem a faktem leży jakikolwiek istotny związek? W każdym razie człowiek prawdopodobieństwami nie żyje. Czy to nie jest rzeczą prawdopodobną, że ja umrę dziś w nocy! Jest niezawodnie. No, a patrz pan, ja sobie dziś kupiłem bilet do teatru na jutrzejszy występ Modrzejowskiej...

— Profesor mnie zachęca...

— Nie, sędzio, nie. Ani to, ani tamto. Ożenić się człowiek musi na swoją własną odpowiedzialność — a ja myślę, że człowiek ma prawo uczynić na swoją własną odpowiedzialność, coś wtedy, gdy czuje w sobie bewien popęd, którego złych skutków w żaden sposób na pewno obrachować nie może. Uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności—marzenie. Nauka ci nie wystarczy na każdą chwilę, odpowiedzi ci nie da na wszystkie zapytania, a czekać, aż da, niema czasu; trzeba żyć, bo śmierć pewna, trzeba decydować się, na prawo lub na lewo, bo w miejscu nie ustoisz, i trzeba decydować się na własne ryzyko. Oto moja mądrość. Kto inny, sędzio, może ci więcej powie. My tu sobie gawędzimy, jak starzy znajomi zresztą, bo jako lekarz pacyentowi, tom panu powiedział już dawno wszystko, co wiem. Powiedzże mi teraz, sędzio, jeżeli nie nazwiesz mnie starą i ciekawą babą, co cię popycha do stanu małżeńskiego. Miłość?

— Nie profesorze.

— Nuda starokawalerska?

— I to nie.

— Interes?

— Ani dźbła...

— Coś więc skomplikowanego.

— Bo to widzi profesor, cała ta sprawa to jest prawie czysto akademicka. Każdy człowiek urabia sobie w duszy pewien ideał kobiety, który nie jest, jak sądzę, niczem innem, jeno plastyczną wy-

obrażeniową, szczególną, psychologiczną formułą jego rozumienia życia. Jego pragnienia, jego dążenia, jego marzenia w tym ideale kobiecym, zjawiają się w kształcie odpowiednich zalet i przymiotów. Rzeczywistość z takich ideałów nie robi sobie nic a nic, a serce, wszedłszy w tajemne przymierze ze zmysłami, rade nawet płatać wyobraźni figla. Ale czasem jednak może się zdarzyć i taka kombinacya życiowa, że nagle stanie oto przed tobą dziewczyna, z krwi i kości, a taka samiuteńka, jakąś nosił w myślach, w głowie wypiastował i urzeczywistnia ci i wciela wszyściutko to akurat, coś snuł, i roił, i w tęczę oprawiał. Co profesor powie na taki figiel?

— I zdarzyło ci się to sędzio?

— Otóż to właśnie.

— A nie jest to podstęp zmysłów, pułapka, zastawiona przez serce?

— Nie: zmysły śpią, a serce milczy dotychczas, tylko się dziwi...

— I nie plastyka pierwszego wrażenia?

— Przez dwa miesiące patrzałem na nią codzień—badałem, śledziłem... Teraz rozstaliśmy się i nie tęsknię za nią. Ale rozum mi mówi: z tą kobietą mógłbyś niezawodnie być szczęśliwy, ona by cię zrozumiała, ona by ci kwiatami osypała pożycie, w niej znalazłbyś wszystko dobre, czegoby ci potrzeba było: słodycz nieprzebrana na dni powszednie, wesele na święto, spokojne, a niewyczerpane poświęcenie w dniach niebezpieczeństwa.

Stary profesor uśmiechnął się, jak do miłego obrazu.

— No, no, ani się spodziejesz sędzio jak ci serce zagada.

— Ja wiem o tem. Otóż kwestya: Czy pozwolić mu przemówić?...

VII.

Są pewne rzeczy, o których zdaje się człowiekowi, że wie, że je zna, a naprawdę ani o nich wie, ani je zna, aż do chwili, w której nie staną przed obliczem jego w całej swej zmysłowej rzeczywistości. Przyjmie bo coś człowiek do wiadomości, ustali potem w formie pewnego pojęcia, a wszystkiem tem wyobraźnia szczerze się nie zajmowała ani przez chwilę w żywe obrazy danych pojęcia tego nie przerabiała.

Stąd i niespodzianki.

W takiej sytuacyi znalazł się właśnie pan Pawliszewski.

Niby wiedział on, że panna Bronisława posiada rodzinę, niby zdawał sobie sprawę, że żyje ona w otoczeniu „chłopców". Toć że o tych chłopcach nasłuchał się niemało... Tymczasem pokazuje się, że nic nie wiedział, że sobie z niczego sprawy nie zdawał.

— Do widzenia, do widzenia, panno Bronisławo...

Pewnego popołudniu, koło czwartej, ubiera się Pawliszewski w czarny surdut i idzie na Wspólną ulicę pod numer czterdziesty ósmy, z pierwszą wizytą.

Raz znalazłszy ten numer, podnosi się na trzecie piętro po brudnych, kuchennych schodach i wchodzi do małego mieszkania, w którem jest pełno żelaznych łóżek.

Ledwie drzwi otworzył, uderza o uszy jego gwar, jakby od jakiego ulicznego zbiegowiska idący.

Posuwa się odważnie naprzód...

Aleć to istotne zbiegowisko.

Jak w pierwszym, mniejszym, tak i w drugim większym pokoju, pełno chłopców w mundurkach różnego kroju i koloru, mniejszych i większych. Tak bo dziś się zdarzyło, że do Henia przyszedł kolega, do Leonka przyszedł przyjaciel, Ludek zaś właśnie jest w trakcie zakładania wielkiej spółki, mającej na celu zmonopolizowanie marek pocztowych, jeżeli nie na całym świecie, to przynajmniej w warszawskiej szkole realnej i zebrał oto wszystkie poważniejsze firmy, z któremi warto traktować na seryo. Syndykat ten zajął w jednym pokoju wszystkie krzesła i łóżka.

Henio i jego kolega, jak na uczniów technicznej szkoły przystało, skupieni są nad budową maszyny: będzie to wspaniała proca do strzelania wróbli. Wystrugali już drewniane widełki i teraz

przytwierdzają do nich długą, jedwabną, elastyczną gumę.

Henio właśnie wraca z kuchni, gdzie robił poszukiwania grochu.

— Masz? — pyta go kolega.

— Pełną kieszeń.

Groch to naboje.

W drugim pokoju Leonek prowadzi zażartą dysputę z przyjacielem o pesymizmie i optymizmie.

Obadwaj siedzą na stole.

Bronia przysłuchuje się uważnie tej rozmowie, siedząc ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, tuż obok, także na stole.

Krzesła zresztą nie są pozostawione bez użytku; chłopcy opierają na nich nogi.

Pawliszewski wszedł, stanął i zmartwiał.

Spostrzega to Bronia, z drugiego pokoju przez otwarte drzwi. Zeskakuje ze stołu i biegnie witać.

— Dotrzymał pan obietnicy — mówi, podając mu rękę.

Pawliszewski nie może dosłyszeć jej słów.

Odpowiada cokolwiek.

Ona go prowadzi dalej, zapoznaje z bratem.

W tym pokoju jest nieco ciszej, od biedy wielkiej można się porozumieć.

— Jaka szkoda, że niema właśnie Anatolka. Tylko co wyszedł — mówi Bronia.

Pawliszewski o mało nie jęknął.

To jeszcze nie wszyscy — myśli, ostatecznie przygnębiony.

— Będzie żałował, jak się dowie — mówi Bronia. — Mówił mi, że zna pana z nazwiska...

Pawliszewski usiłuje na to odpowiedzieć uśmiechem.

Szczerze usiłuje.

I nie mógł się żadną miarą na uśmiech zdobyć.

Leonek odrazu nabiera uprzedzeń do człowieka, który ubiera się w czarne surduty, nosi na rękach rękawiczki i od którego w dodatku idzie woń fiołków.

Myśli sobie:

— Ciekawym, jakie też przekonaia ma ta wymuskana lala?

Rzuca też kilka frazesów o postępie, o nieuniknionej konieczności reform, o przeżytych formach własności, o samolubstwie pewnych klas.

Pawliszewski nie wypowiada się wcale.

— Konserwatysta — myśli sobie Leonek z najwyższą pogardą.

I zaczyna w sposób gwałtowny dowodzić, że pomiędzy konserwatystą, a złodziejem kieszonkowym istnieje jedyna formalna różnica, oparta na braku ścisłych definicyi i nadużyciu słów.

Zapala się przytem bardzo.

Przyjaciel poczyna go mitygować.

— Ale, przesadzasz, mój drogi, stanowczo przesadzasz...

Leon zębami zgrzyta.

Odpowiada, że marzeniem jego jest spotkać się właśnie z konserwatystą oko w oko i trzasnąć

go w pysk paru argumentami, tak, żeby mu aż gęba spuchła.

— Argument pierwszy... — zaczyna wyliczać. Przyczem spogląda na Pawliszewskiego w sposób napastniczy.

Tymczasem Henio który Pawliszewskiego bardzo nie lubi za jego nudzenie o zdrowie, ukończywszy swoją maszynę, wpada na pomysł.

— Poczekaj — mówi do kolegi — zaraz ją wyprobujemy.

I napina ziarnko grochu na gumę.

Groch pada na ścianę drugiego pokoju.

— Jak ci niesie! — woła zadowolony kolega.

— To nic! poczekaj! — mówi Henio.

I napina drugie ziarnko.

To ginie w sukni Broni.

Trzeci nabój.

A! jest!

Pawliszewski chwyta się za czoło nagle.

— Co to? co to?

— Ach to proca Henia... Wymknęło mu się ziarnko grochu... Bardzo przeprasza...

Pawliszewski zwraca twarz do Broni.

Jest przekonany, że mu się sączy krew.

Ale nie śmie zapytać.

Bronia jest tem szczerze zmartwiona.

— Jakiś ty nieuważny! — woła na brata ostrym głosem.

— Wymknęło się, mówię ci...

Pawliszewski woła na pomoc wszystkie siły woli, aby nie zerwać się natychmiast i nie odejść.

Myśli sobie:

— Wpadłem tu, jak pies do kręgielni.

I udaje, że słucha namiętnych wywodów Leona.

Naraz słychać brzęk w pierwszym pokoju.

Bronia zrywa się i leci zobaczyć:

— Co tam?

To Heniowi jeszcze raz wymknęła się jego kula i zbiła szybę.

Leonek woła:

— Mógłbyś sobie na dworze urządzać polowania.

Henio mówi do kolegi strapiony.

— Chodźmy na dwór.

Bronia chce załagodzić sprawę.

— To się da zakleić — powiada.

Nareszcie Pawliszewski wstaje i żegna się.

Bronia powiada mu najspokojniej.

— Do widzenia, do widzenia.

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ.

CZĘŚĆ VI.

I.

Okropny nieład w domu, nie sprzątnięto, nie zamieciono, łóżka stoją rozgrzebane od rana do nocy.

W piecach nie napalono, zimno, jak w psiarni.

Chłopcy unikają własnego mieszkania, jak zapowietrzonego miejsca, na całe popołudnie rozłażą się, gdzie kto może, do kolegów z wizytami. Całe wieczory spędzają w czytelni cukierniczej nad gazetami, tacy się naraz porobili literaci.

Henio poczyna nawet szemrać na siostrę.

— Cóż ona tam siedzi? Czyż ona nie wie, że my tu bez niej rady sobie dać nie możemy.

Starsi bracia wsiadają na niego.

— Cóż to dla przyjemności tam siedzi?

— Siedzi, bo widać musi.

Ale w gruncie rzeczy wszyscy są źli, zniecierpliwieni, rozdrażnieni.

Bronia pojechała do pana Waligórskiego. Wmówiono w nią, że ona jedna tylko umie sobie dać ra-

dę z dłużnikiem. Przyszła potrzeba podnieść i ostatnie pięćset rubli.

I nietylko potrzeba, ale konieczność i mus.

Wuj Adolf jest już emerytem i wyniósł się, gdzieś do Włocławka w spokoju dokończyć dni swoich; dać już nic nie może teraz. Zresztą przez te lat kilkanaście dał niemało. Odmawiając z konieczności dalszej pomocy, niezaniedbał im obliczyć w tysiącach rubli sumy, wybranej przez nich z jego kieszeni... Całe życie był to człowiek liczb ścisłych.

Te więc pieniądze, które Bronia teraz przywiezie (a przywiezie napewno, bo ona jedna umie trafić do ładu z Waligórskim), to już reszta...

Ale to nic. Gdyby ojciec ożył i zobaczył na własne oczy, jaki użytek zrobiły jego dzieci z tej garści złota, którą im zabezpieczył byt, rozradowałoby się jego serce i ręce do błogosławieństwa wyciągnęły.

Anatol niezadługo już będzie skończonym prawnikiem, Leon z pewnością dojdzie do stopnia doktora medycyny, jeżeli mu nie przeszkodzą rzeczy, mające daleki związek z medycyną, a w które wkłada całą swą namiętną duszę.

Henio uczy się nieźle i skończy szkołę techniczną, tak, że mieć będzie ładny kawałek chleba, bo właśnie kraj, przerabiający się z rolniczego na przemysłowy, na gwałt potrzebuje ludzi z fachowem wykształceniem; chłopiec rośnie, wątły ale o życie jego niebezpieczeństwa niema i Bronia mu umrzeć nie da.

Ludwik wprawdzie nie skończył gimnazyum realnego: nauka szła mu tępo i w rzadkiej klasie dwóch lat nie odsiedział; ale zawsze świadectwo z czterech klas posiada i może powiedzieć, iż do piątej zajrzał. Chłopiec pracuje w pewnym dużym interesie ekspedycyjnym jako wolontaryusz, a od Nowego Roku ma mu pryncypał dać pierwszą pensyę, obiecał już. I on więc nie zginie.

Gdyby Rabniewicz żył ciągle, czy pokierowałby ich lepiej, niż to oni uczynili własnemi siłami...

Wolno wątpić...

Najcierpliwiej na powrót Broni czeka Ludek. W głowie jego powstał bowiem pewien projekt i chłopiec chodzi już tydzień cały, jak zaczadzony.

Bo jeżeli ten projekt się nie uda...

Na tę myśl samą jakaś gorycz pokazuje się w ustach jego.

Ważąc zaś szanse na tę i na tamtą stronę, więcej ma, niestety, gorzkich, niż słodkich nadziei.

Wraca nareszcie Bronia.

Wszystkie usta, wszystkie oczy wołają do niej:

— No, masz? masz?

— Mam!

— Wszystko?

— Wszystko!

Wielkie „Ach" — wydobywa się ze wszystkich piersi.

Rozjaśniony Anatol postanawia:

— Urządzimy sobie dziś bibę, jakiej jeszcze świat nie widział.

Bronia rzuca na stół pięć tęczowych papierków, potem się rozbiera i spogląda dokoła.

Porządki, jakie tu zastaje, nie wywołują na jej twarzy najlżejszej oznaki zadziwienia. Zna ona przecie swoich chłopców.

Spokojnie idzie do kuchni, bierze szczotkę i, zamiatając pokoje, opowiada braciom wesołe epizody z odbytej podróży.

Wieczorem biba, jakiej świat nie widział; sardynki, serdelki, włoski salceson, parowe kiełbaski, ciastka, piwo, herbata, cytryny, pomarańcze...

Ludek jednak nie ma ani humoru, ani apetytu, ani pragnienia.

Baczne oko Broni spostrzega to odrazu:

— Co ci jest?

Na to zapytanie powiada sobie Ludek, że chwila stanowcza nadeszła i odpowiada pytaniem, zająkując się nieco:

— Co my zrobimy z tymi pięciuset rublami?

Bracia wybuchają śmiechem.

— Ale bo... widzicie... miało być przecież tak, że resztą mieliśmy się podzielić.

Wszyscy otwierają na to zadziwione oczy.

— Co? Kto? Gdzie?

Ludek staje się coraz śmielszy.

— Czyż Anatolek nie mówił nam, że się resztą pieniędzy podzielimy?

— Kiedy?

— Zaraz na drugi dzień po śmierci ojca.

— Ależ to już trzynaście lat

— Wszystko jedno, ja dobrze pamiętam. Mówiłeś...

Leon pyta go ostrym głosem:

— Więc o co ci idzie?

— O co mi idzie?—podejmuje Ludek.— O to, że znowu puścicie pięćset rubli i ja nic z tego nie dostanę.

— Ty masz z tego coś dostać?

— Ty! Czemu nie ja?

— Bo ja jestem upośledzony — tłomaczy Ludek—pokrzywdzony...

— Ty? Pokrzywdzony?

— A tak, tak, pokrzywdzony! Wy wszyscy skończycie szkoły, uniwersytet, będziecie bogatymi, będziecie zarabiali dużo pieniędzy... A ja czem będę?

— Któż ci bronił skończyć szkołę?

— Zdolności nie miałem... Czy to moja wina!.. Przecież chciałem, widzieliście... Niech sama Bronia powie... Wy będziecie panami, a ja co? Całe życie w kantorze urzędniczkiem marnym, cudzym sługą. A przecież ja jestem waszym rodzonym bratem... I takie same mam prawa, jak i wy...

Anatol, zniecierpliwiony także, pyta go:

— Więc ostatecznie, czego ty chcesz od nas?

— Czego ja chcę? Powinniście wejść w moje położenie... Dajcie mi z tego choć trzysta rubli...

Powszechne osłupienie.

— Bzika dostałeś?

Bronia zwraca się do niego:

— Z czegóż my będziemy żyli?

— Czyż oni nie mają wszyscy korepetycyi? Tylko ja nic nie mam jeden.

— Od Nowego Roku dostaniesz pensyę...

— Pensya! Ty wiesz, ile mi dadzą na początek? Piętnaście rubli miesięcznie.

— Cóż ty chcesz? To nie pieniądz?

— Gadaj! A wy ile będziecie niezadługo zarabiali! Dla mnie te trzysta rubli to byłby kapitał... Jabym nie zmarnował...

Leon patrzy na niego z pogardą i mówi:

— Ach, ty bydlaku, ty!

Ale Anatol w żart wszystko obraca.

Ludek probuje jeszcze środka heroicznego, spuszcza swe pretensye na dwieście rubli.

Anatol proponuje mu ostatecznie trzydzieści kopiejek.

...Tego wieczora kładzie się Ludek spać z ciężkiem uczuciem doznanej krzywdy...

II.

Nazajutrz na osobności, Ludek gorzko skarży się Broni na braci.

— No, powiedz tylko, czy ja nie miałem racyi?

I znacznie śmielej i wymowniej zaczyna dowodzić praw swoich niezawodnych do minimum dwustu rubli.

Bronia się waha.

Ostatecznie to prawda, to nie jego wina, iż nie skończył gimnazyum — myśli dziewczyna.— Jednym Pan Bóg zdolności dał—innym odmówił.

— I mnie potrzebny jest kapitał jako handlowcowi.

I to także prawda, że handlowcowi kapitał jest potrzebny.

Widząc, że siostra jest przekonaną, Ludek prosi ją, aby poruszyła raz tę kwestyę.

— Ale tak, wiesz, niby od siebie.

Bronia chętnie się podejmuje trudnego komisu.

Ale tym razem zrywa się prawdziwa burza.

— Więc on na seryo! — woła oburzony Anatolek.

I zaczynają występować ze swemi pretensyami. A Anatol to nie potrzebuje trochę pieniędzy na założenie kancelaryi, a Leon, to z powietrza umebluje swój gabinet, a Henio czy zaręczy, że już nie będzie potrzebował doktora, wsi, gór może!

Ludek milczy i zaciska zęby.

Potem mówi do siostry:

— No, no! Zobaczymy jeszcze, kto na co wyjdzie... Dopiero się zaczyna... Nie wiadomo, kto od kogo w życiu może potrzebować... Zobaczą oni co odemnie! Ja im to przypomnę...

Ale zaraz żałuje słów swoich.

Chłopiec ma swoje plany i to nie od dziś.

Ale tymczasem całą sztukę wkłada w to, aby broń Boże, nikt się niczego nie domyślił.

Nikt też się niczego nie domyśla.

Leon jeden tylko odgaduje go i kiedy niekiedy mówi o nim z szyderstwem i pogardą:

— To będzie groszoról, zobaczycie!

Jaki on stał się gorzki i jadowity ten Leon.

Łaszewski zostawił w nim coś ze swej duszy, ziejącej nienawiścią. Łaszewski oddawna nie pokazuje się na Wspólnej; wyjechał bardzo daleko i nawet się nie pożegnał, o ile jednak w pierwszem nie było jego woli, o tyle i w drugim nie było winy winy. On to zaszczepił w serce Leona prawdziwego raka, który toczy w nim i zatruwa wszystko, co jest pełnem siły, co się wyrywa do życia.

Jest mu nieznośnie na świecie i we własnej rodzinie ledwie wytrzymać może.

Uspokaja się tylko trochę przy Broni.

Rozmawia z nią czasem godzinami i odkrywa się cały; spowiada ze wszystkich swych myśli, z nienawiści i bólów, i z wiary swojej i aż do ostatka swej duszy, do dna, do głębi, gdzie czasem podnoszą swe łby obydne, syczące gady zwątpienia o wszystkich i o wszystkiem...

Bronia dostaje wtedy wypieków na policzkach.

— Nie, ty to nie naprawdę mówisz. Ty tego myśleć nie możesz!

Leon odpowiada głucho:

— Bo ja wiem, czy to nie naprawdę?...

Bronia marszczy brwi:

— No słuchaj! Jeżeli tacy ludzie, jak ty, wątpić będą...

Leon podnosi głowę.

— Tak — mówi sobie z wyrzutem — powinna przecież ludzkość posiadać choć garść tych, którzy nigdy nie mają prawa wątpić...

Wiara, jaką Bronia ma w niego, podnosi w nim nanowo wiarę w samego siebie.

— Tak — mówi — to ty masz racyę. Wierzmy, Broniu, wierzmy...

I ściska jej rękę, jak mężczyźnie, jak towarzyszowi.

Z Anatolem już oddawna nie prowadzi szerszych rozmów.

Odzywa się o nim z pogardą:

— On! Tuzinkowy karyerowicz... nic więcej...

III

Bawi w Warszawie kuzynka Zośka. Przyjechała tu z Winnicy, aby się czegoś nauczyć: buchalteryi, retuszeryi, introligatorstwa. Musi się w tem wszystkiem rozpatrzyć... Dziś kobieta powinna mieć własny w życiu fundament, coś umieć, czemś być. Wiedzą już o tem panny nawet w Winnicy.

Zośka niczem nie przypomina ciotki Karoliny, zawsze chorej i kwękającej. Zdrowie od tej dziewczyny aż tryska.

Ma ona lat dziewiętnaście, formy ładne i pełne, twarz rumiana i okragła jak świeże jabłuszko, włosy jasne, oczy ciemnoniebieskie, blondynka typowa, jakby wycięta z chromolitografii. Przytem żywa, wesoła, głośna, wygadana.

Podobała się na Wspólnej.

Zadecydowano o niej:

— Dobra dziewczyna.

Leon chwali ją za „szersze pragnienia", choć usiłuje jej dowieść, jak te szersze pragnienia pa-

nien z Winnicy są wąziuchne i anemiczne. Ale daje rady praktyczne i chodzi po szkołach rzemiosł zbierać informacye o warunkach

Anatol flirtuje z Zośką.

Spotykają się na mieście i chodzą razem do teatru.

Leon mówi do Broni:

— Ty przestrzeż Zośkę, słuchaj. Powiedz jej, że ten Karyerowicz tylko głowę jej zawraca... On się przecież bez grubego posagu nie ożeni...

Bronia tego polecenia nie umie wykonać.

Leon więc sam przy sposobności mówi Zośce, aby temu Karyerowiczowi nie ufała.

Zośka uśmiecha się:

— Wiem, wiem — powiada. — Ja nie jestem taka głupia, jak wyglądam.

Poznawszy trochę lepiej Bronię, zwierza jej się:

Wszystko to o tym fundamencie w życiu to tylko tak... (Robi Zośka wymowny i malowniczy gest w tem miejscu: paluszkiem kilka razy w kółko)... W Winnicy nudziła się na śmierć i chciał się z nią żenić prowizor... Ona nie jest głupia i wie, że może wyjść za mąż nietylko lepiej, ale nawet zupełnie dobrze... Tylko trzeba przecież, aby ją ludzie zobaczyli... Prawdziwy fundament w życiu dla kobiety, to mąż... Jaki mąż taki fundament, a ona chce mieć fundament dobry... Już ona sobie da radę zresztą...

— Ja tobie to mówię w sekrecie i w zaufaniu, moja droga. Ty mnie nie zdradź.

— Bądź spokojna.

— No, bo ty przecież sama rozumiesz: ja nie mogę o tem krzyczeć na dachach.

Szuka więc Zośka w dalszym ciągu tego, czego nie chce znaleźć.

Do Broni ma coraz większe zaufanie.

— Tylko ty się nie bój o Anatola — powiada jej raz. — Myśmy się już porozumieli. Ja wiem, że on się ze mną nie ożeni, a on też wie, że ja nie dla niego. Wiesz, to tylko tak...

I parę floresów pisze Zośka na powietrzu różowym paluszkiem.

Ludek nic zwraca na Zośkę żadnej uwagi, choć ta go raz po raz zaczepia.

Leon zainteresował się nią z początku.

Po tygodniu już jednak powiada o niej do Broni:

— To jest małpa!

I przestała Zośka dla niego istnieć.

Pewnego razu Henio podchodzi do Broni z miną tajemniczą:

— Słuchaj, Brona, ja mam do ciebie prośbę...

— Jazda!

— Uważasz, oddaj Zośce ten list, ale tak, żeby nikt nie wiedział.

— Dlaczego sam nie oddasz?

— Widzisz... Nie mam odwagi...

— Odwagi?..

Henio zwiesza głowę.

— Ja ci powiem wszystko, Brona. Widzisz, ja jestem bardzo nieszczęśliwy...

— Co ci się stało?

— Ja... ja się, widzisz, zakochałem.

— Zakochałeś się? W Zośce?

— W Zośce.

Bronia myśli sobie:

— Nie miała baba kłopotu...

Henio podnosi na siostrę zachwycone oczy:

— Słuchaj... Prawda, jaka ona piękna?

Brona obraca list w palcach.

— I co teraz będzie?

— A bo ja wiem...

— Któż będzie wiedział!

— A cóż... jak ona się nademną nie zlituje, to... to... bo ja wiem... Może w łeb sobie palnę...

— Cóż ona ci może zrobić?

— Widzisz, Brona, ja jej nie proszę o wzajemność, o, nie! Tak wysoko myśli moje nie sięgają. Ja się nawet nie czuję jej godnym... Ja tylko chcę, aby ona pozwoliła mi się kochać.

— Ty jej to napisałeś w tym liście?

— Tak.

— Słuchaj-no, a nie mógłbyś ty się w niej kochać tak, bez listów, nic nikomu o tem nie mówiąc. Przecież to byłoby wszystko jedno, skoro wiesz, że nie pozyskasz jej wzajemności i skoro nawet jej wzajemności nie pragniesz...

— Widzisz, ale zawsze jabym chciał, aby ona o tem wiedziała.

— Po co?

— Bo ja nie mogę długo nosić w sobie tej tajemnicy. Boję się... żeby mi nie rozsadziła piersi...

Brona się waha.

— Ty koniecznie chcesz, żeby to jej oddać?

Henio poczyna się nareszcie marszczyć.

— Bezwarunkowo!

Nazajutrz Bronia wita Zoskę·

— Nie wyobrazisz sobie, co za kłopot.

— No!

— Konkietę zrobiłaś.

Zośce oczy błysnęły nagłem światłem.

— Któż? — pyta krótko.

— Ah! moja droga... Henio.

Zośka mruży oczy.

— Henio...

— Kazał mi oddać ci ten list.

Zośka otwiera spokojnie list z wprawą osoby, której nie po raz pierwszy przytrafia się podobne nieszczęście. Siada sobie wygodnie na krzesełku i uważnie odczytuje cztery bite kartki listu.

— Jak ten malec nieźle pisze — powiada.

Potem składa list, chowa go do mufki i zaczyna opowiadać o wczorajszym koncercie.

Henio, ledwie wrócił ze szkoły, pyta Broni.

— Była Zośka?

— Była.

— Oddałaś jej list?

— Oddałam.

— I cóż mówiła?

— Nic.

— Jakto nic?

— Powiedziała, że nieźle piszesz.

— Jakto „nieźle piszę“?

— Tak mówiła.

— I nic więcej!

— Nie.

— Jakto? Ani słówka?

— Ani słówka.

Henio pojąć jeszcze nie może.

— Nie powiedziała ci, że odpisze.

— Nie.

— Nie?

— Nie.

— Słuchaj, Brona, ty wiesz, jak ja ci ufam i wierzę... jak nikomu na świecie... Tyś mi powiedziała wszystko tak, jak było.

— Możesz być pewnym.

— I ona ani słówka nie dodała?

— Ani słówka.

Henio przez maleńką chwilkę skupia się w sobie. Potem mówi stanowczym, ostrym głosem:

— No, poczekaj. Ja do niej jeszcze jeden list napiszę! Będzie ona miała...

IV.

— Powiadam ci, Brona, że ja w tej Warszawie mam nadzwyczajne szczęście. Żebym chciała, to jużbym mogła wyjść dobrze za mąż. Ale wolę jeszcze trochę poczekać, aż się trafi lepiej.

Bronia patrzy na Zośkę z uśmiechem. I myśli sobie:

— Nic dziwnego... Ona taka piękna...

Zośka w tejże chwili spogląda na Bronię i także myśli sobie:

— Jak ona nie ma nic... tego, co potrzeba...

I zapytuje Broni:

— Powiedz mi, czy w tobie się kiedy kto...

Ale się pręciutko poprawia:

— Czy w tobie się już dużo chłopców kochało?...

Bronia otwiera szeroko oczy zadziwione:

— We mnie?

— W tobie.

— We mnie? We mnie się nikt nie kochał.

— Nikt, nikt? Co ty mówisz?

Robi minkę zdziwioną, minkę obłudną, udaną. I dalej się dopytuje:

— A ty masz kochliwą naturę?

— O, wcale—odpowiada wesoło Bronia.

— Jednak, ileś się razy już kochała!

— Ani razu.

— Ani razu? Nie, to nie może być. Przecież mnie możesz powiedzieć. Ja tobie wszystko mówię, jak najszczerszej przyjaciółce.

— Dlaczego jabym ci nie miała powiedzieć?

— Słuchaj... może raz... raz jeden. Ty mi wyglądasz na taką kobietę, co to raz jeden i na całe życie... Ten, albo żaden... No, cóż?

— Mówię ci przecie...

— Nigdy? Nigdy?

— Nigdy.

— Patrz... To dziwne... Ja bo... chciałabym mieć tyle tysięcy rubli rocznego dochodu, ile ja się razy kochałam *naprawdę*.

— No, no.

— Tylko to mnie, wiesz, w niczem nie przeszkadza. Ja się bardzo spokojnie kocham.

Nagle się Zośka namyśla:

— Hm! Choć ja cię rozumiem... Tyś miała zawsze takie poważne obowiązki... Tyś wychowała przecież braci.

Bronia uśmiecha się.

— Co? ja? ich? To oni mnie wychowali.

— Oni? ciebie?

— Naturalnie.

Zośka myśli sobie:

— Jaka ta dziewczyna jest naiwna.

Bronia zamyśla się również na chwilę.

— Ty mnie pytasz czy ja nie kochałam nigdy? Ja się omyliłam, kiedy powiedziałam: nie kochałam; moja Zosiu, bardzo kochałam moich chłopców. Czterech ich mam, a każdy taki inny, taki dzielny. Dla obcych już widać nie było poprostu w mojem sercu miejsca. Nikt mi się nigdy nie wydał ani tak pięknym, ani tak rozumnym jak oni, nikt. Bo ty, widzisz, Zosiu, nie znasz ich wcale. Wpadniesz na chwilę, pogadacie tam trochę, najczęściej o głupstwach. Ale to trzeba tak żyć z nimi, jak ja, całemi latami, tak dzielić z nimi dobre i złe chwile, trudy i przyjemności, marzenia i pragnienia, aby wiedzieć, co to za serca, co to za umysły, co to za charaktery! Oni przecież sami tak idą przez życie od tylego dziecka, sami, bez ojca i matki, bez rózgi, bez cukierków, bez pogróżki i bez zachęty. I patrz, na jakich dzielnych ludzi rosną! I zobaczysz, co jeszcze z nich będzie! Jak wysoko oni zajdą! Gdzież są ludzie godniejsi kochania? To też ty nie wiesz jak mi życie płynęło zawsze mile, szczęśliwie, ty nie wiesz co to za rozkosz tak być zawsze z nimi, tak wśród nich. Czy ty myślisz, że inna miłość może dać więcej szczęścia? Moje złote, moje drogie chłopaki...

Zośka przez cały ten czas bawi się mufką i myśli sobie:

— To jest bardzo piękne... ale ona zostanie starą panną, jak amen w pacierzu.

V.

Ta uroczystość otuliła ich atmosferą takiego ciepła, tyle z głębi ich dusz wywołała serdeczności i kochania, że skończyć się nie chce.

Druga już po północy, a oni ani myślą o rozejściu się nareszcie, siedzą, gwarzą, przypominają sobie.

Dziś jest to dzień, w którym Anatolek przeniósł się ze Wspólnej do własnego mieszkania. Stało się to koniecznem od chwili, gdy został kandydatem do posad sądowych; teraz nietylko bywać musi, ale czasem i przyjąć kogoś u siebie, choćby z prostą wizytą.

I oto przyjmuje ich dziś u siebie po raz pierwszy.

Jest wesołe i smutne święto, radosne i bolesne zarazem. I dziś, kiedy ubywa im jeden członek wiernej gromadki, a ubywa tak jak odpada w sposób naturalny od macierzyńskiej gałęzi dojrzały i do

samodzielnego życia przygotowany owoc, dziś tulą się właśnie tem mocniej do siebie, tem silniej czują, że są czemś jednem, czemś tem samem i tak trzymają się znowu siebie, jak w tej chwili pamiętnej, przed laty, kiedy dziećmi małemi nie dali się rozproszyć po świecie, pomiędzy obcymi ludźmi rozebrać, kiedy postanowili pójść już od tej chwili przez życie własnemi siłami.

Wszystkie niezgody, wszystkie różnice, waśnie, pretensye, niechęci umilkły dziś i rozjaśnieni patrzą sobie z ufnością i dumą oczyma w oczy i duszami w dusze.

Ale czas na Wspólną! Trzecia dochodzi.

— Co? Już trzecia? Czy to podobieństwo!

Anatol powiada:

— Ja was odprowadzę!

Od tej dopiero chwili wyjście z tego miłego kawalerskiego mieszkania brata nie wydaje się ciężkiem.

Na schodach tyle jeszcze mają sobie do powiedzenia, że Anatol prosi:

— Bójcie się Boga, cicho! Gotowi mnie wyrzucić z mieszkania.

Mówią więc szeptem, dopóki nie znaleźli się za bramą, na Miodowej ulicy. Noc zimowa, bardzo mroźna i dość jasna pomimo, że niebo chmurkami jest przesłonięte. Gwiazdy nie widać ani jednej, ale księżyc robi, co może, z wielką energią przedzierając się przez chmury i pędząc gdzieś szybko za Wisłę.

Na mróz nikt nie zważa. W duszach tyle gorąca, wiary tyle i dumy.

— Chciałbym widzieć innych bachorów na naszem miejscu...

— Zmarniałoby to niezawodnie.

— Patrzcie? a my?

— Ba! my!

Idą po chodniku nieporządnie, w kupie, jedno drugiemu zawadza, każdeby chciało być obok wszystkich.

— Bo już teraz to możemy być spokojni o przyszłość.

— Ja myślę.

— Wszyscy jesteśmy już u końca drogi... Wszyscy ludźmi będziemy...

Leon myśli przez chwilkę:

— To jeszcze zależy...

Ale i on porwany dziś jest, uleczony na dzień jeden, jaśniej widzieć zaczyna jakoś przed sobą...

Wyliczać zaczynają czem kto już jest, czem w przyszłości bezpośredniej będzie. Ludek się przytem na chwilę krzywi, ale protestuje z niezwykłą u niego łagodnością:

— Już wy mi tylko nie mówcie o mojej pensyi... Piętnaście rubli i już dwa lata prawie na tem siedzę...

Tak dochodzą do Wspólnej.

— No, oto i *wasz* dom — powiada Anatolek.

— Tak, już nie twój.

Anatol się unosi.

— Zawsze mój, mój, więcej, niż jest na świecie cośkolwiek mojego.

Stoją i nikt nie dzwoni do bramy. Ktoś proponuje:

— Teraz my odprowadźmy trochę... Wracają wszyscy na Nowy Świat.

Anatol ma skrupuły.

— Nie, mróz... Już się wróćcie.

— Do Kopernika.

Ale, zagadani, spostrzegają istnienie Kopernika dopiero na ulicy Czystej.

— To nic! Idziemy do króla Zygmunta! Od króla Zygmunta do mieszkania Anatola już tylko...

— Parę kroków...

Anatol jest wzruszony:

— Dziękuję wam, dziękuję.

Żegna się serdecznie.

— Ty przyjdziesz jutro?—pytają go.

— Ja myślę!

— Jutro? Chyba dziś?... Przecież już jest piąta.

— A więc dziś.

Ale w chwili, kiedy ma położyć rękę na dzwonku, postanawia nagle:

— Ale to i ja was trochę odprowadzę.—Smiech. Ale wracają wszyscy na Krakowskie - Przedmieście.

— Do Kopernika...

I znowu Kopernik im znika.

— To nic! Do świętego Aleksandra.

Nareszcie Anatol powiada:

— To nigdy się, wiecie, nie skończy.

— No, do widzenia. Ja biorę dorożkę. Rozstają się wreszcie. Na instytucie głuchoniemych bije szósta.

— Co? Szósta już?

A jednak zdaje się im, że jeszcze nie wszystko sobie powiedzieli.

VI.

Nocna ta wędrówka po Warszawie, z Miodowej na Wspólną i ze Wspólnej na Miodową, w listopadzie, sprowadza nieszczęście na Bronię.

Nazajutrz budzi się z bólem głowy, łamaniem w stawach, osłabieniem w mięśniach.

— Masz tobie—myśli—przeziębiłam się niezawodnie.

Zabiera się do zwykłej roboty...

Jakże jej to strasznie ciężko.

Nikt nie może wiedzieć, ile kosztowało ją przygotowanie na dziś obiadu chłopcom...

Ale go przygotowała.

— Jak tam Henio?—myśli ciągle. Ze drżeniem oczekuje jego powrotu ze szkoły. Jeżeli ona tak zapłaciła za nocny spacer, to cóż on dopiero. Poszedł wprawdzie do szkoły, na nic się nie skarżąc, tylko strasznie niewyspany, senny, z klejącemi się powiekami. Ale co powie, jak przyjdzie?

Oto i on.

— Nic ci nie jest?—pyta go Bronia od progu.

— Co ma być?—odpowiada zdziwiony.

— Nie przeziębiłeś się?

— Nic a nic.

Lżej się Broni nieco robi, ale tylko na jedną chwilę.

Ledwie wyniosła po obiedzie talerze do kuchni, musi się położyć do łóżka.

— Na jeden momencik—powiada sobie. Ale pozostaje już do wieczora w łóżku. Ani sposób podnieść się z niego.

Pić jej się chce; gdyby tak herbaty szklankę.., Niema komu jej podać. Chłopcy porozchodzili się.

Wracają dopiero wieczorem.

— Co tobie Brona?—woła Leon.

— Chora jestem!—Szepcze.

Leon za rękę ją bierze.

— Ależ ty masz gorączkę szaloną...

Zakłada jej termometr.

— Czterdzieści i jedna dziesiąta.

— Przeziębiłam się wczoraj.

Chłopcy ją rozbierają, kładą do łóżka. Bronia oddycha ciężko.

— Tyś się nie przeziębił?—pyta Leona.

— Ani myślałem.

— A Ludek?

— Zdrów, jak rydz.

— Czemu to Anatolka niema? Wszak obiecał przyjść... Pamiętacie... Musiał pewnie także zachorować...

— Bądź spokojna...

— Żeby który do niego wpadł, dowiedział się...

— Dobrze, dobrze...

Przymyka na chwilę oczy, głowa mało nie pęknie.

— Moi kochani—prosi słabym głosem—już wy sobie dziś sami.

Leon zaczyna się na nią gniewać:

— Ty o nas nie myśl...

Ale Bronia, poleżawszy trochę spokojnie, zapytuje:

— Czy nikt nie poszedł do Anatolka?

Ale oto i Anatolek.

— Zdrów! Zdrów jesteś?

— Jak ryba.

— To dobrze, to dobrze...

Chłopcy w kuchni otaczają Leona i pytają go:

— Jakże! Masz że pojęcie co jej jest?

— Przeziębienie oczywiste...

— Może sprowadzić doktora?

— Zobaczymy jutro... Zostawcie to mnie.—Sprowadził nazajutrz Leon doktora.

Przeziębienie...

Po kilku dniach Bronia może podnieść się z łóżka i jako tako zająć domem. Ale zdrowa jeszcze zupełnie nie jest. Coś jej w gardle siedzi, przeszkadza, ciąży, chwilami nawet boli.

Myśli Bronia, że będzie jutro lepiej. Ale jutro i pojutrze ciągle jest jednakowo, przeszkadza, ciąży, boli czasem...

Wracając z targu myśli sobie:

— Wstąpię do lecznicy...

Przy obiedzie mówi braciom:

— Byłam dziś w lecznicy... na to gardło... Jakiś młody doktór... widocznie nic się nie zna... Głupstw mi nagadał...

— Cóż takiego!

— Że to bardzo poważne... że może być źle... żem się powinna do tego zabrać... ani kroku przez całą zimę nie wychodzić.

Ludek robi uwagę:

— Tak, żeby go do domu sprowadzać, bo za to bierze się rubla.

— Bajki, jednem słowem... Zapisał mi coś, ale nawet nie poszłam z receptą do apteki...

Leon jest jednak zaniepokojony.

Nazajutrz pyta rano Broni:

— Boli cię gardło!

— Boli.

— Ubierz się... Pójdziemy razem do doktora.

— Czy to się opłaci?

— Już proszę cię...

— Może jutro?

— Nie, dziś!

I prowadzi ją do profesora uniwersytetu. Profesor bada ją bardzo sumiennie. Pyta na co i kiedy umarł ojciec, na co i kiedy matka... Wypytuje o zdrowie braci.

Potem mówi Broni:

— To nic, nic...

I Kiedy Bronia się ubiera, profesor pociąga Leona do drugiego pokoju i drzwi za sobą zamyka.

— Bójcie się Boga, jakeście mogli tak zaniedbać... To są gardlane suchoty...

— Suchoty?...

— Niezawodnie...

— Panie profesorze—pyta—co robić? co robić?

— Wywieźć ją na Południe, jaknajprędzej gwałtem... jutro... dziś...

VII.

Więc Anatol, z ciężkiem westchniem powiada:

— To ja już chyba zwinę moje mieszkanie i sprzedam meble.

Rzuca się na to Bronia gwałtownie.

— Za nic w świecie nie zgodzę się na to, za nic w świecie! Słyszycie! Przecież ty jeszcze nie spłaciłeś w zupełności tych mebli... Ty masz karyerę swoją odkładać, abym ja mogła pojechać sobie zagranicę? Nigdy, nigdy, nigdy!

Bracia milczą.

Bronia po chwili zabiera znów głos:

— Co wam się z tem południem przewróciło w głowach. Musiał was ten stary profesor tak przestraszyć... A ja wam powiadam, że to tylko lekkie zajęcie migdałów, nic więcej. Jak Ludek był mały, to też miał to. Za kilka dni przejdzie.

Leon ponuro zwiesił głowę.

— Nie, ty musisz jechać na Południe — mówi

z jakąś rozpaczliwą stanowczością—musisz... Chcesz, czy nie chcesz...

Zawraca się i wychodzi.

Niema go cały dzień.

Późnym wieczorem wraca przygnębiony i ciemny na twarzy.

Nie mówi ani słowa, nic nie bierze do ust.

Bronia zaczyna się gniewać.

— Wy wszyscy macie takie miny, jakbyście cztery wsie podpalili, a o piątej myśleli. A mnie za nic macie. Nikt już mnie w tym domu nie chce słuchać... A ja wam powiadam, że mnie się zrobiło dziś lepiej. Czuję znaczną ulgę w gardle... Już mnie tak nie drapie.

Wtedy Leon bierze ją za rękę, siada przy niej i dwie łzy spływają mu z oczu wolno po policzkach.

Bronia jest oburzona.

— On płacze, on... mężczyzna!—woła.—I nad kim? Nademną... Jakby już wszystkie większe nieszczęścia umarły...

— Tak, ja płaczę, moja najdroższa—mówi Leon drżącym głosem, do głębi widocznie poruszony—bo ja dziś, dziś dopiero zrozumiałem, czem ty byłaś dla nas, coś dla nas uczyniła, ile ci zawdzięczamy. My wszyscy, my wszyscy, jesteśmy marni, podli, nikczemni egoiści, którzy wyzyskiwali cię przez całe życie, którzy brali od ciebie wszystko, nie pomyślawszy ani przez chwilę, aby coś wzamian dać za twoje serce, za twoją czułość, za twoją tro-

skliwość, za twoje trudy bez końca, za twoje ofiary i poświęcenia...

— Co on gada—szepce Bronia.

— Tyś była dla nas ojcem i matką, przyjacielem i towarzyszem, tarczą i opieką; tyś nas wychowywała, tyś nas utrzymała w kupie, tyś nas prowadziła naprzód, tyś nie dała nam się zmarnować ani zmarnieć... Nam zdawało się, żeśmy własnemi siłami szli! Co za ironia!Co za zaślepienie! Twojemi siłami szliśmy! twojemi siłami myśmy żyli... I wzamian, kto o tobie szczerze pomyślał. Byłaś naszą kucharką, pokojówką, praczką, pomywaczką, służącą, i kto to ocenił? kto? Do dnia dzisiejszego na wszystko było nas stać, tylko stać nas nie było na danie ci służącej do pomocy. Wypoliczkować nas winni ludzie, wypoliczkować na publicznym placu.

— Nie, wiecie państwo...—probuje zaprotestować Bronia.

Ale Henio podnosi do góry głowę i z zaiskrzonemi oczyma woła:

— Tak, tak! Święte są twoje słowa, Leonie.

Ludek jeden milczy.

— Czem my bylibyśmy bez ciebie, ukochana nasza, czem? Dla którego z nas nie byłaś aniołem stróżem? Kto ma nad ciebie cokolwiek droższego! Kto ci sekretów nie zwierzał, kto nie odkrywał swego serca, komu nie pomogłaś, kogo nie poratowałaś, kogo nie pocieszyłaś? Myśmy ciągle się gryźli między sobą, a kto od ciebie słyszał jedno słowo gniewu. Przecieżbyśmy sobie oczy powydrapywali,

żeby nie ty! Stałaś pomiędzy nami, jak światło, które drogi nasze prostowało. I poświęciłaś nam wszystko, wszystko, całą młodość, i na myśl nawet nie przyszło ci, że ty także przecież masz te same prawa, co i my do życia, do szczęścia. I wyrzekłaś się wszystkiego bez jednego westchnienia. Myśleć o nas tylko, żyć tylko dla nas, poświęcać się dla nas wydało się tobie rzeczą najprostszą, najnaturalniejszą. I wydawało się to rzeczą najprostszą, dla nas, marnych, i dla nas, nikczemnych. I patrz, kiedy przyszła chwila, że coś trzeba dla ciebie zrobić, kiedy trzeba cię ratować my wszyscy nie możemy nic... nic...

Wzruszenie przerwało mu mowę.

Bronia słuchała już dalszych słów jego spokojnie i ze słodkim uśmiechem. Nie broniła mu mówić, nie protestowała. Wiedziała, że wszystko to jest nieprawda, że to odzywa się przez jego usta żal i dobre serce.

Ale myślała tak, że jeżeli istotnie coś uczyniła dla braci, jeżeli była dla nich dobrą siostrą, jeżeli spełniała swoje obowiązki nie najgorzej, — to przecież te łzy w oczach Leona, te słowa w jego ustach wynagradzają ją po stokroć, po tysiąckroć, po milionkroć...

Więc przyjmowała te słowa poruszona do głębi duszy, z wdzięcznością, której nie umiała wyrazić inaczej, tylko w tkliwem spojrzeniu i mocnym uścisku ręki brata.

Podniósłszy zaś oczy, spostrzegła, że tuż obok

stoi Henio, niemniej od Leonka wzruszony i że w oczach jego świecą także łzy, jak brylanty.

Uścisnęła i jemu rękę.

Chciała powiedzieć im jakieś dziękczynne słowo... Żadne nie wydało się jej godnem wyrażenia tego kochania głębokiego, jakiem jej serce biło dla „jej chłopców".

Jeden Ludek tylko siedział podczas całej tej sceny spokojny, jak zawsze, uważny zresztą jak zawsze, na każde słowo, z wybałuszonemi oczyma.

VIII.

Kiedy Bronia poszła do kuchni, aby talerze po kolacyi pozmywać, wsuwa się za nią pocichu Ludek.

— Cóżeś ty tam tak słuchała tego, co oni zawracali?—mówi z lekceważeniem.

Bronia czuje się bardzo dotknięta temi słowami.

— Mój Ludku,... proszę cię... jak ty możesz tak mówić... o tych serdecznych słowach...

Ludek ramionami wzrusza.

— I! I dużo ci to przyniesie!

— Dobre serce nie jest papierem procentowym mój drogi.

Ludek jeszcze raz wzrusza ramionami. Potem nachyla się do ucha siostry i z ukosa spogląda na drzwi, czy kto nie wchodzi.

— Ty się nie martw—szepcze jej—i tak pojedziesz na Południe.

I po chwili dodaje:

— Ja ci pożyczę pieniędzy.

Bronia podnosi na niego zdziwione oczy.

— Co? Ty?

— Ja.

— Ty masz pieniądze?

To zapytanie wywołuje u Ludka jakieś skurczenie się w sobie całej jego osoby. Jest mu dziwnie niemiło.

— Niewiele — powiada prędko — bardzo niewiele.

I po chwili dodaje, jaby sam w sobie coś przezwyciężył:

— Ale mam trochę...

I jakoś tryumfująco oddycha.

Bronia myśli sobie ze słodyczą nieskończoną w duszy:

— Oto moi chłopcy...

Ale mówi do Ludka:

— Mój złoty, czy ty wiesz, ile to będzie kosztowała taka podróż do Włoch, czy do Francyi?

Ludek się obraża.

— Jabym tego nie wiedział?

Potem dodaje:

— Ja jeszcze wczoraj obliczyłem wszystko. Ty musisz być tam do wiosny. To konieczne. To sztować będzie najmniej czterysta rubli, oszczędnie bardzo.

Wyjmuje notes i pokazuje jej zapisaną kartkę.

— Patrz, tu bilety kolejowe tam i napowrót, tu życie dziennie... Ja ci dam adres hotelu, gdzie jest niedrogo, na Riwierze...

Bronia patrzy na niego zdziwiona.

— Ty masz czterysta rubli?

Ludek strasznie nie lubi takich zapytań o pieniądze tak wprost. Znowu się kurczy cały i odpowiada nieprzyjemnym nieco tonem:

— No, mam. To co?

— I ty mnie chcesz dać?

Znowu Ludek się kurczy.

— Widzisz... Ja ci to tymczasem pożyczę..... Ale tak, aby oni nie wiedzieli. Im powiemy, że ja się wystarałem... Ja ci to wszystko powiem, bo, widzisz, ja mam to już wszyściutko ułożone. Ja odrazu wiedziałem, że żaden z nich nic nie zrobi. Oni tylko dobrzy do gadania...

Ale Bronia potrząsa głową.

— Ty nie wiesz, Ludku, jaka ja ci jestem wdzięczna. Ale przecież ty rozumiesz to dobrze sam, że ja cię nie mogę pozbawiać kapitału. Tyś powinien mieć coś, w razie jak by ci przyszło zacząć...

— Widzisz... bądź spokojna. Te czterysta rubli, to przecie nie wszystko...

Bronia znowu zadziwiona:

— Ty masz więcej?

Ludek już wytrzymać nie może tych zapytań. Odpowiada więc opryskliwie już, poprostu:

— No, mam jeszcze tam troszkę...

— Bój się Boga, skąd? Piętnaście rubli pensyi, którą bierzesz...

— I? Biorę? Od roku już nie biorę! Ktoby tam marnował czas za piętnaście rubli na miesiąc.

— Ty nie jesteś w kantorze?

— Kiedy ja już plunąłem na kantor...

— I cóż ty robisz?

— A prowadzę interesy na własną rękę.

— Jakież to interesy?

— Widzisz, ja robię w koronkach... Ale co ja ci będę tłomaczył, kiedy ty się na tem nie znasz...

— Nie powiedziałeś nic nikomu.

— Po co! Czy mi coby z tego przyszło?

Bronia zastanawia się.

— I tobie to nie zrobi różnicy.... czterysta rubli?...

— Hm! Także mądre pytanie... Czy mi to różnicy nie zrobi?... Ale przecież to do ciebie nie należy... Ty musisz jechać i pojedziesz. Tylko przed nimi, pamiętaj, ani słowa. Ja tylko czekałem na sposobność, żeby z tobą pomówić. Jeszcze wczoraj wszystko było gotowe. Widzisz, bo ja w interesie taki jestem: jak raz co trzeba zrobić, no, to się robi. Dwieście rubli mam tu! Choćby zaraz możesz wziąć, a resztę ci przyślę. Widzisz, żebyś tylko stamtąd zdrowa wróciła, koniecznie zdrowa.

Bronia pochyla głowę, roztkliwiona nad miarę.

— Ludku, mój złoty Ludku! — mówi. — Przecież ja nie mogę wziąć od ciebie tych pieniędzy.

Ludek milczy chwilę.

— Ty myślisz, że mi to miło tak... czterysta rubli...

Ale zaraz dodaje tonem nieprzełamanej stanowczości:

— Ale to trudno... Musisz, musisz!

Bronia składa ręce, jak do modlitwy.

— Boże wszechmocny!—mówi.—Za co Ty mi dałeś takich chłopców...

KONIEC.

WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH".

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH" (Warszawa, Sienna Nr. 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.	CENA w opr. kop.	CENA brosz kop.
413. **Gen. Roman Sołtyk.** KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	55	40
414, 415. **Berta bar. Sutner.** DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	1.10	80
416. **Generał kwatermistrz de Pistor.** PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	55	40
417, 418, 419. **Sir Edward Bulwor Lytton.** ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	165	120
420, 421. **Juljusz Falkowski.** KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	55	40
422. **W. Doroszewicz.** RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	55	40

Tom.	CENA w opr. kop.	CENA brosz kop.
423, 424, 425. DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.65	120
426, 427. OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	110	80
428. LARIK. J. Gadomski	55	40
429. WŁÓCZĘGA W TRÓJKĘ. Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	55	40
430, 431, 432. Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.65	120
433. Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	55	40
434. Maurycy Barrès. POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	55	40
435. NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanès i L. Nassa, opracowała K. Płońska	55	40
436. Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowiadanie	55	40
437. Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	55	40
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458. 460. 463. Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	5.50	4.00
440. Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studyum powieściowe	55	40
443. J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	55	40
446, 447. Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI. Przekład M. Łaganowskiej	110	80
449, 457. A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	110	80
450. Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNÓW, przekł. E. Węsławskiej	55	40
451. Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	55	40
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.65	120
455, 456. Jerzy Rodenbach. DZWONNIK Przełożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	110	80

Tom.		CENA w opr. kop:	brosz. kop:
459.	**Kazimierz Rakowski.** DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	55	40
461, 462.	**Grazia Deledda.** POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram-Kościałkowskiej	110	80
464.	**Mark Twain.** SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	55	40

Rok 1907.

465, 466, 469, 470.	**Jerzy Kennan.** SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	2.20	160
467, 468.	PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCYZA OLIZARA. Rok 1831.	110	80
471, 472.	**Faustyna Morzycka.** Z DNIA WCZORAJSZEGO. Powieść	110	80
473, 474, 475.	**Paulina Wilkońska.** MOJE WSPOMNIENIA o życiu towarzyskiem w Warszawie, z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.65	120
476.	**Stanisław Kozłowski.** POCHODNIA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem Wystawiona na scenie Warszawskiej w dniu 16 ym lutego 1907 r.	55	40
477, 478, 479.	**Bonawentura z Kochanowa.** WINCENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNÓW. Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego i początku dziewiętnastego stulecia	1.65	120
480.	**Marion.** PAMIĘTNIK. (Strofy liryczne)	55	40
481.	**Jerzy Grosjean** (deputowany). SZKOŁA I OJCZYZNA, przekład Maryi Wentzlowej	55	40
482, 483.	**Zofia Casanowa. (Lutosławska).** DOKTÓR WOLSKI. (Kartki z życia Polaków i Rosyan). Przekład z hiszpańskiego H. J.	110	80
484.	**Willa Zyndram-Kościałkowska.** SZKICE LITERACKIE. I. Ignacy Chodźko	55	40
485, 486, 487.	**Henry Murger.** SCENY Z ŻYCIA CYGANERYI. Przekład z francuskiego Zofii Wróblewskiej	1.65	120

Tom.	CENA w opr. kop.	brosz. kop.
488. **Ludwik Włodek.** NA PÓŁNOCY I NA POŁUDNIU. W krainie skär.—Pod niebem błękitnem. Wrażenia i szkice z podróży	110	25
489, 490. **E. L. Voynich.** OLIVIA LATHAM. Powieść. Z upoważnienia autorki przetłomaczyła Marya Feldmanowa	110	80
491, 492, 496, 497, 499, 501. PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA, obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815	3.30	2.40
493, 494 495. **Wiktor Gomulicki.** CIURY. Powieść	1.65	120
498. **E. Czirikow.** NOWELE. Przełożył z rosyjskiego B. Str.	55	40
500. **Juljusz Zeyer.** WIECZÓR U IDALII. Tłomaczyła z czeskiego Julja Kreczyńska	55	40
502. **Kazimierz Gliński,** CO MÓWIĄ LASY LITEWSKIE Opowieść z poszumów drzew nadniemeńskich spisana	55	40
503. **Tadeusz Rittner.** NOWELE.	55	40
504. 505. **Johan Bojer.** MOC OPINII. Powieść. Z norweskiego przełożyła Józefa Klemensiewiczowa	110	80
506. **S. M. Roguski.** BOLKO SZCZODRY. Obraz historyczny w 5 obrazach	55	40
507, 508 510, 511. **Upton Sinclair.** TRZĘSAWISKO. (The Jungle). Powieść. Przekład z angielskiego	2.20	1.60
509. **Tadeusz Grużewski (S. Topór).** PAŃSTWOWOŚĆ ROSYJSKA. Serya rozpraw i artykułów politycznych.	55	40
512, 513. **Eliza Orzeszkowa.** ISKRY. Nowele.	110	80
514. **Pamięci Jana Gadomskiego KOLEDZY**	2.50	2.—
515, 516. **Marya Rodziewiczówna.** ANIMA VILIS. Powieść	110	80

Rok 1908

517, 518. **Gabriel Sarrazzin.** WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI. Mickiewicz.—Słowacki.—Krasiński. Przekład z francuskiego Wacławy Kislańskiej, z przedmową Jana Lorentowicza	160	80
519. **Wincenty Kosiakiewicz.** ŻYWE OBRAZKI.	55	40

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
520, 521, 522.	**Marion.** MIRAŻE. Powieść. Wydanie drugie	1.65	120
523.	RADCA STANU A. KOLB JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, przełożone z niemieckiego przez M. G.	55	40
524.	**Conan Doyle.** CZTEREJ. (The sign of four)		
525.	MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił Jan Błeszyński	55	40
526.	**Stanisław Ostrowski.** A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku	55	40
527, 528, 533.	**Juljusz Falkowski.** WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Grużewskiego	1.65	120
529.	**Artur Schnitzler.** ŚMIERC. Nowela z przedmową Adolfa Strzeleckiego	55	40
530,	**Alexandra Suszczyńska.** INACZEJ. Nowele	55	40
531	**Wilia Zyndram-Kościałkowska.** SZKICE LITERACKIE. II. Prometeusz	55	40
532, 535, 536, 537, 539, 541, 543, 545.	**Teodor Dostojewski.** BIESY. Tłomaczył T. K.	4.40	3.20
534, 538.	**Maurice Leblanc** WYTWORNY WŁAMYWACZ. Przekład J. P.	110	80
540.	**Wiktor Gomulicki.** OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. Serya II	55	40
542.	**Ryszard Jefferies.** HISTORYA MOJEGO SERCA. Autobiografia. Przełożyła z angielskiego A. Z.	55	40
544.	**Eliza Orzeszkowa.** WIDMA. Powieść z przedmową Stanisława Krzemińskiego	55	40
546.	**Tadeusz Jaroszyński.** DWIE NOWELE.	55	40
547, 548.	**Aleksander L. Kielland.** NAPOLEON I JEGO LUDZIE, przekład Maryi Kreczowskiej	110	80
549.	**Conan Doyle.** Z PRZYGÓD SHERLOCKA HOLMESA. Tłóm. z angielskiego Bronisława Neufeldówna	55	40
550.	**Hermann Heijermans.** W PRZESTRZENI. (Humoreska z niedalekiej przyszłości). Przełożyła Z. W.	55	40
551, 552, 553.	**Teod. Tom. Jeż.** ZARNICA. Powieść bułgarska	1.65	120

Tom.	CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
554. **Gabryel d'Annunzio.** MIASTO UMARŁE. Tragedya w pięciu aktach, przełożyła z włoskiego J. Dyżewska	55	40
555, 556. **Eugeniusz Checchi.** GARIBALDI. Przełożył z włoskiego D-r Stanisław Kozicki, z przedmową Władysława Jabłonowskiego	110	80
Powieść. Tłom, z angielskiego Bronisława Neufeldówna	55	40
557, 558. **Józef Conrad. (Korzeniowski).** TAJNY AGENT. Przekład z angielskiego M. G.	110	80
559, 560, 566. **Jędrzej Śniadecki.** PISMA SATYRYCZNE. Do druku przygotował i przedmową opatrzył Dr Adam Wrzosek	1 65	120
561. POLSKA jako rycerz wśród narodów, według Louis'a E. Van Normana, z przedmową Heleny Modrzejewskiej-Chłapowskiej. Opracowała Emilia Węsławska	55	40
563, 564. **Prevost.** LISTY FRANI MĘŻATKI	110	80
565. **J. Mikulicz.** KRÓLEWIENKA	55	40
567, 568. **Hejermans.** MIASTO DYAMENTÓW	110	80

Rok 1909.

569, 570. **A. Gruszecki.** ZALOTY BIUROKRATY. Powieść 2 tomy	1.10	80
571. **J. Andruszewski.** NASTROJE 1 tom	55	40
572. **Wł. Jagniątkowski.** KARTKI Z PODRÓŻY PO INDO-CHINACH 1 tom	55	40
573. **M. Raczyńska.** MOIZES. Powieść 1 tom	55	40
574. **Z. Sokołowska.** SYCYLIA I KALABRIA. Podróż 1 tom	55	40
575, 576. **Wiktor Gomulicki.** ON I ONA. Powieść 2 tomy	1.10	80
577. **Papus.** WIEDZA MAGÓW 1 tom	55	40
578, 579. **Z. Ćwirko.** PO SZCZĘŚCIE. Kartka z pamiętnika 2 tomy	1.10	80
580. **Emil Reych.** NIEMCY WSPOŁCZESNE 1 t.	55	40
581, 582. **Abgar-Sołtan.** POLUBOWNA UGODA. Powieść 2 tomy	1.10	80
583. **J. Bourdeau.** KIEROWNICY MYŚLI WSPOŁCZESNEJ 1 tom	55	40
584. **Robert-Louis Stevenson.** DZIWNA HISTORYA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDE'A 1 t.	55	40

Tom.	CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
585. **Gryf.** NA PRZEŁOMIE 1 tom	55	40
586. **M. Arcybaszew.** ŚMIERĆ LAUDEGO 1 tom	55	40
587. NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELENY. Pamiętnik hr. Balmain'a. Przełożył Maciej Wierzbiński 1 tom	55	40
588, 589. **M. Czerny.** ZA CO? Powieść 2 tomy	1.10	80
590. **L. Paul-Dubois.** IRLANDYA WSPÓŁCZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom	55	40
591. **W. Lutosławski.** JAK TANIO PODRÓŻOWAĆ?—Wędrówki iberyjskie 1 tom	55	40
592. **Władysław Renard.** ONE 1 tom	55	40
593, 594. **Lafcadio Hearn.** LOTOS 2 tomy	1.10	80
595. **Ignacy Grabowski.** PAMIĘTNIKI RUPIECIA 1 tom	55	40
596, 597. **Ludwik Włodek.** NA ZIEMI WASZYNGTONA 2 tomy	1.10	80
598, 599, 600. **Selma Lagerlöf.** DZIWY ANTYCHRYSTA. Powieść 3 tomy	1.65	1.20
601. CZĘSTOCHOWA. Opracował **Włodzimierz Trąmpczyński.**	40	25
602, 603. **Antonio Fogazzaro.** TAJEMNICA POETY. Z 26-go wydania włoskiego przełożyła Natalja Nagórna	1.10	80
604, 605. **Charlote Perkins Gilman.** KOBIETA A STAN EKONOMICZNY. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej. Przełożyła z oryginału angielskiego Marya Podlewska	80	50
606, 607. **Linankoski.** KRWAWY KWIAT. Z fińskiego przełożyła Klemensiewiczowa	110	80
608. **Monty Jacobs.** MAETERLINCK. Studyum krytyczne. Przekład Maryi Kreczowskiej	55	40
609. **Ida Pilecka.** Z ZA ŚWIATA	55	40
610, 611. **Björnstjerne-Bjornson.** MARY. Powieść 2 tomy	1.10	80
612, 613. **V. Blasco Ibanez.** KATEDRA. Powieść 2 tomy	1.10	80
614. 615. **Jagniątkowski.** POLAK W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ. 2 tomy	1.10	80
616. **Jerome-Jerome.** TOMCIO i Sp. Humoreski	55	40
617. **Kazimierz Laskowski (El).** EKONOM TRAGIK. Obrazek z życia wiejskiego	55	40
618. **Wiktor Gomulicki.** OPOWIADANIE O STAREJ WARSZAWIE. 3 serya	55	40

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
619.	**Pamiętnik N. J. Mamajewa.** ROSYANIN W POLSCE w latach 1838—1842	55	40

Rok 1910.

620, 621.	**Kazimierz Przerwa-Tetmajer.** ZATRACENIE. Romans	1.50	1.20
622, 623.	**Ludwik Jenike.** ZE WSPOMNIEN	1.10	80
624, 625.	**Wincenty Kosiakiewicz.** JEJ CHŁOPCY. Powieść	110	80